

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 17 czerwca 1911. Nr. 24.

Katastrofa automobilowa.

(Treść na str. 2).



Katastrofa automobilowa.

(Do illustracyi tytułowej).

U nas uważa się dotąd użycie samochodu za powodującą mnóstwo nieszczęść fantazyę. Na zachodzie stał się on już uznanym przez wszystkich środ-



Zmiana w prezydyum miasta Lwowa: Stanisław Ciuchciński, ustępujący prezydent.

kiem komunikacyjnym, a publiczność oswoiła się z nim dzięki słusznemu zapatrywaniu, że przy odpowiedniej uwadze ze strony automobilistów i ze strony przechodniów, wypadki są wykluczone. Atoli lekkomyślność jednych i drugich często powoduje katastrofy o mniej lub więcej tragicznem zakończeniu. Szczególnie groźną jest rzeczą dla bezpieczeństwa publicznego, jeżeli samochodem kieruje człowiek, nie panujący nad nerwami lub podniecony użyciem alkoholu. Ta ostatnia okoliczność stała się niedawno we Francyi przyczyną śmierci jednej osoby i ciężkiego poranienia kilku innych.

Drogą, wiodącą wzdłuż toru kolejowego, maszerował z Paryża do Saint Denis oddział piechoty, przeznaczony do strzeżenia nocą toru przed strajkującymi robotnikami. Dowodzący podporucznik usłyszał nagle odgłos zbliżającego się z wielką szybkością samochodu i wydał swym ludziom hasło, ażeby mieli się na baczności. Nim jednak żołnierze zdołali się rozstąpić, automobil błyskawicznie wpadł między nich i obaliwszy kilku, pomknął dalej.

Gdy ochłonięto z pierwszego przerażenia, podporucznik rozkazał dać kilka strzałów dla zaalarmowania mieszkańców. Pośpieszono na ratunek tarzającym się we krwi ofiarom katastrofy. Oprócz jednego żołnierza zabitego było kilku niebezpiecznie rannych.

Poszukiwania za sprawcą nieszczęścia dały po kilku godzinach pomyślny wynik. Był nim szofer, który po obfitej libacyi wybrał się z przyjacielem na wycieczkę. Będąc w stanie podpitym, zaniedbał zwyczajnych sygnałów, a z oszczędności nie zapalił latarki — i ta karygodna lekkomyślność wydała opłakane skutki.

Zmiana w prezydyum miasta Lwowa.

Stolica kraju dokoła w ubiegłym tygodniu wyboru prezydenta i II wiceprezydenta. Jak z góry było do przewidzenia, wobec wyniku wyborów do rady miejskiej, obie te godności przypadły przedstawicielom dwu najsilniejszych stronnictw w radzie, złączonych nadto sojuszem, mianowicie klubowi mieszczańskiemu i klubowi obywatelskiemu. Prezydentem mianowicie wybrano Józefa Neumana, jednego z najwybitniejszych mieszczan lwowskich, II wiceprezydentem dr. Leonarda Stahla, starszego radcę prokuratoryi skarbu.

Nowy prezydent Lwowa, syn radcy skarbowego, poświęcił się w młodym wieku zawodowi drukarskiemu. Ożeniony z córką właściciela największego we Lwowie zakładu drukarskiego ś. p. Pillera, został współwłaścicielem firmy, którą następnie swą energią, swą niezmordowaną pracowitością i wiedzą fachową doprowadził do ogromnego rozkwitu. Dziś zakład ten, powiększony bardzo znacznie, przoduje we Lwowie w zakresie sztuki drukarskiej i litograficznej. Nie zaniedbując ani na chwilę zawodowej swej pracy, brał p. Neuman równocześnie żywy udział w życiu publicznem Lwowa. Wszedłszy 1899 roku do rady miejskiej, stał się jednym z najczyn-



Zmiana w prezydyum miasta Lwowa: Józef Neuman, nowy prezydent.

niejszych i najpracowitszych jej członków. Przez dwa lata piastował też godność wiceprezydenta miasta.

Pozatem zasłużył się p. Neuman wielce jako założyciel. Sokoła IV we Lwowie, jako twórca bursy Dekerta dla młodzieży rękodzielniczej, jako członek wielu stowarzyszeń i instytucyi, wreszcie jako przełożony gremium właścicieli drukarń.



Sztandar korporacyi szewców lwowskich: Uczestnicy uroczystego poświęcenia nowego sztandaru korporacyi szewskiej we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wogóle przedstawia Józef Neuman piękny w całem tego słowa znaczeniu typ mieszczanina polskiego. Inteligentny, energiczny, pracowity, doskonały gospodarz, potrafi niewątpliwie zdziałać dużo dobrego dla ukochanego miasta, które obdarzyło go najwyższą godnością. Zadania czekają go bardzo trudne.



Zmiana w prezydyum miasta Lwowa: Dr. Leonard Stahl, II wiceprezydent.

Ustępujący bowiem prezydent Stanisław Ciuchciński. człowiek niezaprzeczenie bardzo uczciwy i zacny, nie miał — trzeba to stwierdzić otwarcie — warunków na rządcę rozwijającego się szybko wielkiego miasta. Zanadto był miękki, zanadto ustępliwy, a ten brak energii, brak silnej ręki na czele rady i magistratu, szkodliwie odbił się na stosunkach w mieście. Najwyższy też był czas, aby rządy we Lwowie spoczęły w rękach bardziej powołanych, w rękach młodszych i energiczniejszych.

Dzielnym współpracownikiem nowego prezydenta będzie obok dr. T. Rutowskiego, nowy II wiceprezydent dr. Leonard Stahl. Człowiek w pełni sił i zdolności, wybitny prawnik, wychowany we Lwowie i znający stąd stosunki w mieście, stanowi dla prezydyum miasta nadzwyczaj pożądaną siłę. W życiu publicznem i politycznem nie brał dotychczas dr. Stahl głośniejszego udziału, znany jest jednak z wybitnych zdolności i wielkiej prawości charakteru. Pod względem przekonań politycznych zalicza się dr. Stahl do demokracyi narodowej.

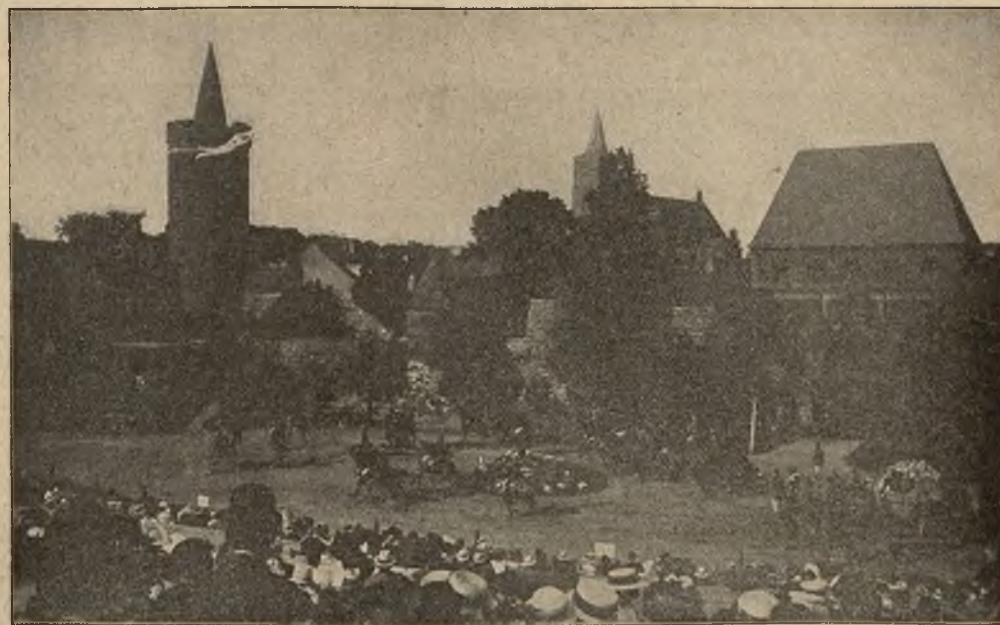
Z okazyi dokonanych zmian w prezydyum rady miejskiej, zamieszczamy dziś portrety ustępującego prezydenta Ciuchcińskiego, oraz nowego prezydenta Neumana i II wiceprezydenta dr. Stahla.

Historyczne widowisko w Bernau.

Niewielkie miasto Bernau, oddalone o 23 klm. od Berlina, należy do najstarszych miejscowości w Prusiech. Założone w r. 1141., posiada przeszłość burzliwą i niespokojną. Jednem z jej najchlubniejszych wspomnień jest bitwa stoczona w pobliżu przez wojska brandenburskie z Husytami w r. 1432. Data wskazuje na okoliczność, że wojowniczy kacerze stali właśnie u szczytu swej potęgi. Rozzuchwaleni zwycięstwami nad wojskami Rzeszy, zapuścili się na jednej z łupieżczych wypraw aż tak daleko, atoli doznali dotkliwej klęski i nigdy już nie śmieli przekroczyć granic marchii.

Ten wypadek historyczny jest treścią widowiska, urządzanego obecnie w Bernau na olbrzymiej scenie pod gołem niebem. Kierownikiem muzycznym jest profesor Hausmann z Berlina, wyćwiczeniem chórów zajął się nauczyciel śpiewu Juliusz Raifer, który skomponował również pieśń biesiadną Husytów, teatralną stronę widowiska prowadzi dyrektor Lorenz, liczne tańce ułożył baletmistrz Zöbisch z cyrku Buscha. Liczba wykonawców dochodzi do 500, z tego 60 jezdnych. Przedstawienia odbywają się w każdą niedzielę i święto.

Nie ulega wątpliwości, że muszą one wyglądać imponująco. Ale nasuwa się jedna uwaga. Gazety niemieckie głoszą z charakterystyczną emfazą, że widowiska w Bernau są unikatem, że przedsięwzięcia teatralnego na taką skalę nie widziała jesz ze Europa. Tymczasem w Anglii odbywają się często



Historyczne widowisko w Bernau: Scena z przedstawienia, dawanego pod gołem niebem w Bernau pod Berlinem.

widowiska historyczne w tym samym rodzaju, zwane *pageants*, a właśnie z okazyi koronacyi Jerzego V. będą one świetniejsze i wspanialsze niż zazwyczaj, liczba uczestników bowiem dosięgnie skromnej cyfry piętnastu tysięcy. Ale i kontynent widywał już rzeczy, przewyższające rozmiarami przedstawienia, urządzane w Bernau. Przypadkowo sam piszący te słowa miał sposobność być na przedmieściu Zurychu Wiedikon na odegranym dla ludu dramacie „Karl der Kühne und die Eidgenossen". Sztuka ta jest czemś w rodzaju „Kościuszki pod Racławicami". Przed oczyma widza przesuwa się przepych dworu Karola Śmiałego i idylliczne życie szwajcarskich wieśniaków, odbywają się znakomicie inscenizowane bitwy i oblężenia. W przedstawieniu bierze udział 800 ludzi i 300 koni, nie brak nawet wyprowadzonej w rodzajowym obrazku z wioski podalpejskiej na scenę... pary wołów. Strona muzyczna również nic nie pozostawia do życzenia.

Trudno tedy obliczonych na nieświadomość czy-

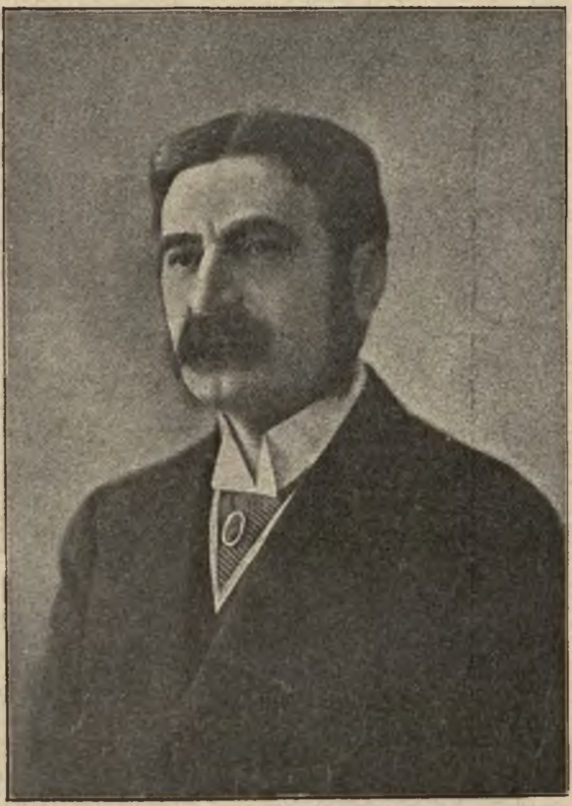


Ustąpienie znanego pedagoga: Prof. dr. Wł. Kulczyński (X), w otoczeniu grona profesorskiego i uczniów gimnazyum św. Jacka w Krakowie. (Fot. T. Jabłoński).

telnika przechwałek pruskiej prasy nie uznać za nowy objaw śmiesznej buty krzyżackiej...

Nowy środek przeciwko tuberkulozie.

Między strasznemi chorobami, które są plagą ludzkości, suchoty są jedną z najokropniejszych, gdyż medycyna czuje się w walce z niemi prawie bezsilną. Życie hygieniczne i ostrożność zdolne są przydłużyć dni dotkniętego tuberkulozą osobnika, ale nie wynaleziono dotąd specyficznego środka, który mógłby go wyleczyć. Kilkakrotnie zdawało się, że już bliski jest moment, w którym wiedza lekarska przestanie być bezbronną wobec tej ciężkiej niemocy, raz nawet łudzono się, że już to nastąpiło, nowe środki jednak okazały się zawsze bez wartości. Po bankructwie sławnej tuberkuliny Kocha, stała się opinia publiczna pod tym względem nieufną i wita dalsze usiłowania sceptycznie. Być może jednak, że świeżo podany do wiadomości sfer lekarskich wynalazek dra Szendeffyego z Budapesztu sprowadzi rzeczywiście w terapii gruźlicy przewrót, którego spodziewać się można na podstawie sądu największych powag medycznych.



Nowy środek przeciw tuberkulozie: Dr. A. de Szendeffy z Budapesztu.

Dr. Szendeffy leczy suchoty preparatem, który nazwaćby można radio-aktywną jodyną mentolową. Do wiadomości publicznej podali wynalazek jego francuscy lekarze dr. Samuel Bernheim i dr. Ludwik Dienpart, zaznaczając, że nowy środek posiada pierwszorzędną wartość leczniczą, gdyż działa korzystnie zawsze, a w wielkiej liczbie wypadków powoduje zupełne wyzdrowienie. Oświadczenie to spotkało się z ogólnem niedowierzaniem. Angielscy lekarze zapytywali w swych fachowych pismach, dlaczego wynik doświadczeń ogłoszono w Paryżu, skoro dr. Szendeffy dokonywał ich na Węgrzech. Na to odpowiedział wynalazca listem otwartym, wyjaśniając, że o swoim środku miał już był przed rokiem odczyt na węgierskim kongresie lekarskim, ale z wystąpieniem przed forum medycznych powag całej Europy wstrzymywał się jeszcze, dopóki kilkaset przykładów nie stwierdziło zbawiennego działania preparatu. Że wystąpienie to nastąpiło za pośrednictwem lekarzy paryskich, to było tylko aktem kurtoazyi dla nich.

Daj Boże, aby wynalazek dra Szendeffyego okazał się rzeczywiście skutecznym! Stanowiłby w takim razie epokę w medycynie i byłby nieocenioną zasługą, oddaną ludzkości.



Teatr włościański w Sierszy: Grupa włościan amatorów z reżyserem Strzelczykiem w pośrodku.

Ustąpienie znanego pedagoga.

Trzydzieści kilka lat zawodowej pracy na stanowisku profesora gimnazyalnego, to szmat czasu pokaźny i nie każdemu z pracowników na tej niwie danem jest, by w pełni sił ciała i ducha rozstawał się z umiłowanym przez się zawodem i z tem wewnętrznem przeświadczeniem, że wywiązał się należycie z swego zadania. Praca nauczycielska w szkole średniej, szczególniej w dziedzinie nauk przyrodniczych, które dotąd traktowane były iście po macoszemu, to zadanie bardzo ciężkie i niewdzięczne, na każdym kroku napotykające na przeszkody i trudności, które trudno pokonać. Ogrom materyału naukowego, a bardzo ograniczona liczba godzin szkolnych, przeznaczonych na jego przerobienie, są przyczyną, że musi się go traktować pobieżnie, nie tak, jak na to zasługuje. Młode pokolenie przyrodników znajduje już pomyślniejsze warunki i niema nawet pojęcia o trudnem położeniu, w jakiem się znajdowali jego poprzednicy, którzy przecież mimo to nie ustali w drodze i nie stracili zapału, owszem wysoko podnieśli ten sztandar, pod którym dla dobra dobra ogólnego tak ciężko pracowali.

W takich warunkach pracował chlubnie dla polskiej nauki znakomity polski przyrodnik, niepośledni znawca krajowych i zagranicznych pajęczaków, profesor gimnazyum św. Jacka, dr. Władysław Kulczyński. W czasie przeszło ćwierćwiekowej pracy pedagogicznej wyszły z pod rąk jego całe pokolenia młodzieży, które umiał zachęcić do pracy i wskazać im drogę do badania tajników przyrody, tej skarbnicy prawdziwej i nigdy nie wyczerpanej, potrafił w nie tchnąć ten zapał, z jakim sam oddaje się tak umiłowanej przez się pracy.

Dziś, gdy usuwa się w zacisze domowego ogniska, nie po to, by spocząć, lecz by módz dalej poświęcać się pracy naukowej, koledzy i uczniowie pożegnali serdecznie cenionego pedagoga, życząc mu jeszcze wiele lat czerstwości i zdrowia dla dobra polskiej nauki, której całe swe życie poświęcił!

Uroczyste to pożegnanie odbyło się w sobotę w gmachu gimnazyum, a szereg przemówień rozpoczął dyrektor zakładu Stanisław Bednarski który w serdecznych słowach nakreślił wielkie zasługi prof. dr. Kulczyńskiego jako uczonego i jako pedagoga, zaznaczył też, jaką miłością i przywiązaniem otaczała ustępującego pedagoga młodzież szkolna.

Przemawiał dalej imieniem grona nauczycielskiego profesor Jaglarz, podnosząc serdeczne stosunki, jakie solenizanta łączyły zawsze z resztą nauczycieli zakładu.

Wzruszony serdeczną owacyą podziękował za objawy życzliwości prof. dr. Kulczyński, poczem zabrał jeszcze głos jeden z uczniów ukochanego pedagoga, wyrażając imieniem młodzieży serdeczną podziękę za ziarna wiedzy, rzucane w młode umysły.

Zdjętą po uroczystości fotografię jej uczestników zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Historyczne widowisko w Bernau: Grupa wykonawców.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

5)

Śmiał się ciągle, a ona mówiła:

Szydziła bezlitośnie, wyzywająco, a on śmiał się ciągle i spytał:

— Dla czegóż moje dzieci mają być anemiczne?

— Dla tego, że będą urodzone z tak zwanego legalnego małżeństwa.

— Nic nie rozumiem... co to ma jedno do drugiego?

— Gdybyś pan właśnie posłuchał tych prelekcyi, na które wygadujesz na podstawie męskich plotek, gdybyś zechciał przeczytać parę książek o fizyologii, gdybyś nakoniec pomyślał trochę nad życiem naprawdę wielkich ludzi, tobyś się przekonał, że tylko dzieci miłości są ludźmi pełnymi zdrowia, energii, żądzy czynu, talentów, geniuszu...

— Słyszałem o tej teoryi. Nawet Szekspir o niej wspomina...

Zaśmiała się i zawołała, zwracając się do lip, jakby ich na świadków wzywała:

— Wielki Boże! Szekspira przytacza...

— A dla czegóż go nie mam przytaczać? Przecież to geniusz, o ile wiem, zrodzony w legalnem małżeństwie, co się sprzeciwia teoryi pani. Napoleon także był synem prawego małżeństwa. Ale nie chcę z panią sporu toczyć, czy ta teorya jest uzasadnioną, czy nie, tylko pytam, dlaczego nie miałbym gorąco kochać mojej przyszłej żony, a kochając ją, dlaczego miałbym mieć dzieci anemiczne? Czyż miłość jest tylko atrybutem nielegalnych związków, tak zwanego życia na wiarę?

Roześmiała się głośno, ukłoniła się z wdziękiem i pobiegła ku Stanisławowi, który ukazał się na początku alei i zawołał:

— Panno Anielo! panno Anielo!

A gdy się zbliżył, rzekł:

— Ratuj mnie pani, bo...

Tu nagle się zatrzymał, nie skończył zdania i ni stąd ni zowąd wykrzyknął:

— Ach! jaka pani dziś ładna!

W rzeczy samej Anielka, rozogniona z rozmową z Wiśniewskim, pełna jeszcze tego uniesienia, które wywołało rumieniec na jej twarzy, zapaliło blaski w oczach i rozdęło jej nerwowe nozdrza, była prześliczną w tej chwili i mogła świętego skusić. Na wykrzyknik Stanisława, który mu się mimowolnie z ust wyrwał, co ona instynktem kobiecym odgadła, wykrzyknik będący hołdem, oddanym jej piękności, spłonęła żywym rumieńcem zadowolenia, bo mimo wszystkie teorye o kobiecie-człowieku była ona czuła, jak każda inna na uwielbienia „wstrętnych samców". To też nie obraziła się wcale i, zalotnie uśmiechając się, rzekła:

— Czy dopiero dziś pan to zauważyłeś?

Teraz Stanisław się zmieszał i począł bąkać:

— No nie... zawsze to myślałem, ale dziś szczególnie...

— Lepiej się pan nie tłumacz, bo któż słyszał, żeby czciciel nicości, wyznawca dekadentyzmu, schyłkowiec prawił komplementa „marnemu puchowi". Oto powiedz pan, z jakiej toni mam cię ratować?

— Wyobraź pani sobie, przyjechała kuzynka Zygmuntowa.

— Cóż to za Zygmuntowa?

— Wdowa po stryju Zygmuncie.

— Po spadek?

— Oczywiście.

— No i cóż w tem strasznego? Wszak pan spodziewałeś się jej przyjazdu?

— Tak, ale nie masz pani pojęcia, co to za kobieta.

— Cóż takiego?

— Coś okropnego!

Miał przytem tak zabawnie przerażoną minę, że Anielka głośno się roześmiała.

— Cóż znów okropnego? Wyglądasz pan jakbyś octu się napił.

— Powiedz pani — piołunu. Niech pani pójdzie i zobaczy.

— Nie ciekawam wszystkich moich kuzynów i kuzynek... z lewej ręki.

— Ale ja nie mogę sam tej baby bawić! Ja ucieknę w pole, do lasu i niech się co chce dzieje! Jak żyję, nie widziałem takiej ordynarnej istoty. Niech mię pani ratuje! Chodziłem do mamy pani, ale zajęta jest w gospodarstwie i powiada, że nie może iść w tej chwili, że jest nie ubrana, choć jej prosty szlafroczek, jest o wiele przyzwoitszy od stroju tej baby.

— Cóż to za strój?

— A! czy ja wiem? Ma jakiś okrutny kapelusz, pełen żółtych i czerwonych kwiatów, jakąś suknię ze straszliwym ogonem jasno-seledynową, a wygląd? Nasza kucharka Franciszkowa, to wielka dama przy niej. A jak mówi, jaki głos?

— To cóż z tego? Widać to jest kobieta z ludu i razi burżujskie nawyknienia pana schyłkowca szlachcica.

— Niech i tak będzie. Proszę, niech pani idzie zobaczyć tę kobietę z ludu.

— A dlaczegóż ja ją mam oglądać? Cóż mię to obchodzi? Czy pan myślisz, że może mi być przyjemnym widok ludzi, którzy mnie obdzierają z przynależnej mi, wedle praw natury sukcesyi? Nie chcę ich znać, bo się dusza moja oburza na wasze głupie prawa męskie.

Stanisław załamał ręce z rozpaczą komiczną, która znów wywołała uśmiech na usta panny Anieli.

— Zgadzam się z panią — zawołał — że te prawa są głupie, ale tu idzie o wyratowanie z przykrego położenia człowieka, który przecież nic nie jest winien, że takie prawa istnieją. Ja nie wiem, co z tą babą gadać, jak się względem niej zachować, a pani, jako kobieta, prędzej dasz sobie radę. Chciałem już ściągnąć koleżskiego asesora, ale to bydle tak się uraczyło oczyszczoną przy obiedzie, że śpi podobno, jak zabity. W sam raz byłaby para. Ratuj mię pani, zwłaszcza, że mam interesa, zaproszono mię do X. na zebranie robotnicze.

— Pan idziesz na zebranie robotnicze?

— Dlaczegóżby nie? Pani może sądzisz, że ja mam jakie przesądy? Ja jestem szczery, prawdziwy demokrata.

— Tak? (spojrzała mu w oczy głęboko) Dobrze, idę zobaczyć i zabawić tę straszną stryjenkę pańską, boć przecie ona jest nią.

I ruszyła, nucąc: „A kolor jego jest czerwony"...

Gdy weszła do przedpokoju, poprzedzającego salonik, nagle usłyszała donośny, ochrypły krzykliwy głos i te słowa:

— Ferdziu, ty praski kołtonie! — czekaj, bękarcie, dam ja ci, jeno cię złapię!

To był głos kuzynki Zygmuntowej.

VII.

W tak zwanym salonie, na kanapie, siedziała owa straszna stryjenka Zygmuntowa, przed którą pan Stanisław tak heroicznie drapnął, kobieta z ludu, jak ją nazwała Anielka. Już same słowa o jakimś Ferdziu, „praskim kołtonie", słyszane w sieni, nie usposobiły dobrze Anielki dla tej mniemanej kobiety z ludu, a widok jej ostatecznie przekonał, że wstręt i obawa Stanisława były zupełnie usprawiedliwione.

Nie była to bowiem z wzięcia się, ruchów, języka kobieta z ludu, ale najszpetniejszy typ drobnej burżujki warszawskiej.

Siedziała ona w postawie wymuszonej i groźnie nadętej na samym środku kanapy, usiłując sobie nadać maniery damy z tak zwanej lepszej sfery, czemu miała sposobność napatrzeć się do syta w Warszawie. Okropny kapelusz z czerwonymi i gorąco żółtymi kwiatami zdjęła i siedziała z gołą głową, a raczej peruką, uczesaną modnie, ale nieszczęsna ta peruka wskutek może zbyt gwałtownego zdejmowania kapelusza przekręciła się nieco na bakier i z pod niej, z boków, z tyłu, wymykały się kosmyki siwo-rudych włosów, co wszystko czyniło stryjenkę Zygmuntową podobną do mistycznej Gorgony lub Furyi.

Te modnie, a zatem wysoko nastroszone włosy przykrywały czoło wielkie, twarz brzydką, piegowatą, pomarszczoną, obficie różem i bielidłem wysmarowaną zalotnie, co robiło dziwnie przykre wrażenie, bo miało się przed sobą kobietę starą, przeszło pięćdziesięcioletnią, która chciała koniecznie uchodzić za młodą, i w tem próżnem, nigdy nie dającem się osiągnąć usiłowaniu traciła powagę starości, a nikogo oszukać i przekonać nie mogła, że jest młodą. Nie widziała przytem na jedno oko, na wieki zakryte powieką wskutek strasznego, jak mówiła wypadku, którego jednak szczegółów nigdy i nikomu opowiedzieć nie chciała; drugie zaś miała maleńkie, zielone, złe i świdrowate. Była brzydka, bardzo brzydka i Anielka z właściwym wszystkim kobietom, nawet kobiecie-człowiekowi talentem, obrzuciwszy jednem wejrzeniem stryjenkę Zygmuntową, powiedziała sobie w duszy, że tak wstrętne typy mogą się tylko rodzić na bruku wielkiego miasta.

Ubrana zaś była pani Zygmuntowa w jasno zieloną suknię, bardzo według mody obcisłą, co przy jej nadmiernie rozrosłych kształtach nadawało jej formy karykaturalne.

Gdy Anielka weszła, jedno oko nowoprzybyłej ciskało pioruny na chłopaka, może liczącego ze siedm lat, ubranego w marynarkę, kamizelkę otwartą z łańcuszkiem od zegarka, jak dorosły mężczyzna, brzydkiego, z łbem rozczochranym, który gdzieś pędził i wpadł na Anielkę z takim impetem, że omal jej nie przewrócił, nie powiedział przytem ani słowa, tylko z trzaskiem doskoczył do drzwi, tu się zatrzymał, odwrócił i koleżskiemu asesorowi, stojącemu na środku salonu, pokazał język i głosem warszawskiego andrusa zawołał:

— Małpa zielona! małpa zielona! — poczem zniknął.

Skąd się wziął imć pan Siergiusz Bolesławicz, Anielka nie wiedziała, bo według relacyi Stanisława, uraczywszy się przy obiedzie nacyonalną „oczyszczoną", miał spać snem sprawiedliwego w swoim pokoju, ale zato widok tego godnego męża tak haniebnie przezwanego „małpą zieloną" i spostponowanego pokazaniem języka przez andrusa warszawskiego, mógł umierającego rozśmieszyć, rozśmieszył też i Anielkę, choć niemile była uderzona łobuzowskiem zachowaniem się nieznajomego chłopaka. Koleżski asesor stał nieruchomy na środku salonu, wpatrzony gniewnym wzrokiem we drzwi, za któremi chłopak zniknął, z ustami szeroko otwartemi, wyrażającemi zdziwienie, przestrach, gniew, słowem całe morze uczuć obrażonej godności i czynowniczego majestatu.

Owładnął jednak sobą i, zwracając się do stryjenki Zygmuntowej rzekł tonem ostrym i gniewnym:

— Da madam, wasz synok, to prawdziwy chuligan, młokos, jego w sam raz do czarnej seciny, by oddać, czysty mazurik...

— Co pan tam ględzisz? nie rozumiem! — zawołała krzykliwym, grubym, ordynaryjnym głosem przekupki warszawskiej pani Zygmuntowa.

— Ta ja madam mówię, co gdyby ja miał takiego syna, toby ja z niego szkóru zdarł, jaby jego rózgami zasiekł.

Zaiskrzyło się jedyne oko szanownej damy i, podnosząc się nieco na kanapie, krzyknęła:

— Co pan tu będziesz wymierzać się na mego Ferdzia, mego synka, sierotkę biedną. Widzisz go! To, że przyjechał skądś z Petersburga czy z Moskwy, to myśli, że mu wszyćko wolno. A wara! a zasię! bo tak nawymyślam od świń, z przeproszeniem, to mię popamiętasz.

Tu przerwała i obcierając chustką jedyne oko, z którego jakoś łzy w żaden sposób płynąć nie chciały, jęczała:

— Wszyscy jeno sobie wycierają gięby moim Ferdziem, sierotką nieszczęśliwą, kużdy na niego, a ty łobuzie, a ty andrusie, dla tego, że ja samotna wdowa, opuszczona kobieta nie mogę się bronić.

I nagle zmieniając ton płaczliwy na gniewny, wołała:

— Ale zapowiadam kużdemu i tobie, mój panie, że ślipie wydrapię, kto mi palcem zakrzywi na mego sierotkę. I czegóż pan stoisz, jak z przeproszeniem... ten... na weselu i wytrzeszczasz na mnie oczy. Pan myślisz, że ja się pana boję. Ja się i prystawa z części nie boję, a nie dopiero jakiegoś tam obieżyświata. Przyjechał, peda, z Petersburgu. Wielga mi rzecz! u nas takimi panami, to kominy wymiatają.

— Czort nie baba! — mruknął koleżski asesor i ruszył ku drzwiom.

Ale bystre ucho pani Zygmuntowej dosłyszało te wyrazy. Zerwała się z kanapy, i miała taką minę, jakby chciała biedz za rejterującym bohatersko Siergiejem Bolesławiczem, ba, nawet parasolką zaczęła potrząsać, co znaczyło, że pragnęła jej długość zmie-

rzyć na plecach asesora, ale nakoniec spostrzegła pannę Anielę, usiadła z godnością, tylko ściskając pięść, rzekła na pół do siebie, na pół do zdumionej, skamieniałej ze zdziwienia panny kobiety-człowieka.

— Czekaj hyclu, nie daruję ci tego. Będzie tu pyskował na mego Ferdzia, nieszczęśliwą sierotkę. Z Petersburga! a portczęta to ma takie liche, że, z przeproszeniem, ledwie się to trzyma kupy. Koleżski aszeszor! wielga mi figura.

Nakoniec przestała myśleć o zbiegłym z pola walki Siergieju Bolesławiczu, a zwróciła się do Anielki, wdzięcznie podniosła się z kanapy, jeszcze wdzięczniej dygnęła, rubasznie się uśmiechnęła, ukazując szereg czarnych zębów i głosem jak najsłodszym spytała:

— Kogóż mam honor? czy także kuzynka?

Anielka bąknęła coś na to, a pani Zygmuntowa z miną niezadowoloną siadła znów na kanapie i rzekła:

— Czy bania się z tymi kuzynami rozbiła? i ten, co tu był... Jak mu to? a! Stanisław, gadał, co jest kuzynem, i ten dureń z przeproszeniem, co przyjechał z końca świata w marnych portczętach... a przepraszam! pani jest panna, przepraszam, któż słyszał przy pannach o portkach gadać?... przepraszam.

I usiadłszy wygodniej na kanapie, gadała:

— Ja jestem wdowa po Zygmuncie, bracie nieboszczyka, co te wieś i ten dwór miał, a kutwa był, niech mu tam Pan Bóg nie pamięta, bo już jest na sądzie Boskim. Mój Zygmunt, z przeproszeniem, był pijaczyna, ale człowiek porządny. Ja już byłam wdowa i miałam, tak jak i teraz jeszcze mam, resztauraczyą na Pradze, na Targowej... co! przyszedł do mnie w surducinie wiatrem podszytej, bez kamizelki, w portczętach tak podartych, że jeno strzępy wisiały, w butach dziurawych i, pedam pannie, bez koszuli; żebym tak jutra nie doczekała, jak prawdę mówię.

— Wierzę pani.

— Cóż robić, ja mam już takie szercze litościwe. Przyjęłam biedaka, bo choć był w łachmanach, a w butach mu chlupało, zlitowałam się. Zima już była i byłby zmarł gdzie pod płotem, gdyby nie ja. Łachy na nim, ale znać było, że to człowiek edukowany i z lepszej familii, tylko pijak. Ano, przyjęłam go, ubrałam w nowiutenki garnitur po mężu nieboszczyku, w koszulę, skarpetki, no... wszystko... nie potrzeba pannie mówić, co każdy mężczyzna na ten przykład ma na sobie. Dałam mu jeść i spanie... jak należy. A on ma: ot peda: mam brata, bogacza, obywatela, napiszę do niego. Napisał i czeka, czeka, czeka, aż tu nic... nic nie odpisał... to jest Zygmuntowi nic nie odpisał, tylko mnie... to jest... widzi panna, taki był już człowiek... Ano, myśle sobie dobrze, trzeba, żebyśmy wzięli ślub ile, że Ferdzio... widziała go panna, był już w drodze... panna wie...

Spuściła wstydliwie jedno oko, i tak dalej opowiadała:

— Zaraz pięknie urządziłam moją resztauraczyą, bo przecie były pieniądze, ten obrzydły sknera, brat Zygmunta przysłał raz i drugi, ale ja Zygmuntowi nie pokazywałam, bo by z przyjaciołami, takimi samymi andrusami jak i on, przepił. O! pedam pannie, najgorsze to są te przyjaciele. Jak panna pójdzie za mąż, niech panna przepędzi na złamanie karku wszystkich przyjaciół męża.

Westchnęła żałośliwie i spytała szeptem, nachylając się poufale do Anielki:

— Powiedzno mi panna, ot tak, jak kobieta kobiecie, duża to jest szukczeszja? Musi być duża, bo nieboszczyk był sknerą, a wszyscy gadają, że na pieniądzach siedział.

— Nie wiem.

— Hm! panna nie wie. A panna też jest kuzynka?

Anielka zarumieniła się; nie chciała zaprzeczyć, bo przekonana była, że ma równe wszystkim prawa do spadku, a przyznać się jakoś do swego położenia w tym domu po prostu wstydziła się, co sobie wyrzucała i wstyd ten przypisywała resztkom, atawistycznym szczątkom dawnego wychowania. Odrzekła więc wymijająco:

— Co do sukcesyi, nie wiem, jak ona jest wysoka, ale wiem za to, że spadkobiercy są bardzo liczni.

— Tak? iluż ich jest?

— Objaśni panią pod tym względem pan Stanisław.

— Ten, co mię przyjmował?

— Tak.

— A gdzież on się podział?

— Wyszedł, bo ma jakieś tam interesa.

— Wszyscy mają jakieś interesa. Ano cóż robić?

Rozsiadła się wygodnie na kanapie i poczęła się rozglądać dokoła.

— Hm... meble są piękne... bogactwo tu być musi. Mój Ferdzio, sierotka, powinien najwięcej dostać.

I po chwili spytała:

— Gdzież ja tu spać będę?

— Pan Stanisław pani wskaże.



W tak zwanym salonie na kanapie siedziała owa straszna stryjenka.

— Pan Stanisław! pan Stanisław! a pani tu od czegój jest?

— Ja dopiero przed paru dniami przyjechałam.

— Skąd? można zapytać?

— Z Warszawy.

— A cóż panna tam w Warszawie robiła?

— Byłam na pensyi.

— Na pensyi? hm... państwo to jakieś... ale, ale... niech no mi panna powie, bandytów tu niema, bo w Kuryerze stojało, że na prewincyi to strasznie bandyci napadają, chocia i w Warszawie to bywa. Powiem pannie, że do mojej resztauraczyi to też przychodzą różne andrusy i czaszem to ja też od nich co kupię, co oni tam zrabują. Jak były te rabunki sklepów, tom też kupiła cały tuzin pięknych trzewików. No... zarobiło się trochę, ale to wszyćko dla Ferdzia. Powiem pannie, jaki to sprytny chłopak, to ze świecą takiego drugiego w Warszawie nie znajdzie. Peda kiedyś do mnie: mama! kup ode mnie zegarek. A ty skąd masz zegarek? pytam. Co mamie do tego, mam. Patrzę, zegarek piękny, złoty, o dwóch kopertach. Skąd masz cholero jakaś, pytam, bom była zła i też bałam się, żeby lawirowy, który szelma ma złość do mnie i ciągle mię przed prystawem skarży, nie dowiedział się. Ferdzio nie chciał powiedzieć. Kiej nie chwycę paska, gadasz czy nie? bo cię tak zerżnę, że nie będziesz mógł przez ruski miesiąc siedzieć. Ano peda, kupiłem za dwa fajgle od Mańki. Mańka to taka... szychtówka. A ona skąd ma? czy ja wiem, peda... liworwel jej przykładali i oddała. No wzienam zegarek, dałam Ferdziowi trzy blaty i koniec. Oj ciężkie czasy, ciężkie...

Anielka wszystkiego tego słuchała i nie bardzo rozumiała całe to mętne, niejasne opowiadanie, z którego jednak ten wniosek mogła wyprowadzić, że godna pani Zygmuntowa należała do najgorszych, najbardziej zdeprawowanych sfer warszawskich, i z pewnem obrzydzeniem na tę szpetną babę patrzyła. A ta, wpadłszy raz na tor wywnętrzeń, prawiła dalej z pewnym rodzajem chluby.

— Kedy (mówiła kedy) w roku zeszłym w Ogrodzie Saskim rozdawali różne panowie żywność, kartofle, kapustę, mąkę, groch, tom ja wysłała Ferdzia, żeby się upomniał, a jakże! a sama tyż poszłam, przebrana w chustkę, w podartą spódniczynę i wykrzywione trzewiki. Hi! hi! hi! Skuliłam się i proszę, dajcie panowie, bom biedna, mam synka sierotę, z głodu pomrzemy, Ano dali kartofli, mąki, krup mnie. Ferdziowi i Mańce, com ją umyślnie najęła, a potem wszystko to sprzedałam. Hi! hi! hi! Trzeba zabiegać, jak można, bo życie w Warszawie strasznie teraz drogie.

Ten ohydny cynizm oburzał Anielkę, to wyrafinowane łotrostwo warszawskiej ladacznicy budziło w niej wstręt. Odsunęła się, jak mogła najdalej, od pani Zygmuntowej, żeby nie skalać się nawet dotknięciem jej sukni. Ona, Anielka, była z przekonania socyalistką, demokratką, wierzyła, że lud polski, że robotnik polski czci tę ideę w duchu i prawdzie, w czystości i wzniosłości uczuć i pod tym względem nie myliła się, ale nie wiedziała o tem, że w wielkomiejskiem błocie zrodziły się potwory, które nic wspólnego nie miały ani z ideą socyalizmu, ani z demokracyą, a typem takich potworów była pani Zygmuntowa.

— Była panna w Warszawie wtedy, jak to napadali na te panny? wie panna jakie?

Mówiąc to, mrugała jednem okiem porozumiewająco.

— Nie wiem o jakich pannach pani mówi.

— Uhu... niby to ja nie wiem... po co to udawać? przecie ja jestem kobieta i można przy mnie gadać. Panna wie dobrze, teraz są takie panny, co wszyćko wiedzą. Ho! ho! nie zawracać mi peleryny. Otóż tedy kole mej resztauraczji, żyd, Czarny Dawid się nazywa. On jest Litwak, pani wie, taki, co ich tu z Rosyi napędzili do nas, naród chytry, ale mądry, i mają pieniądze... nasze żydki to ich nie lubią. Ale co to ja chciała pedzieć? a! o tych pannach! Ten Czarny Dawid ma też taki zakład z pannami w drugim domu, kole mojej resztauraczji. Jak te socyalisty, jakieś pepesowcy czy ta inaczej, napadli na zakład Czarnego Dawida, sądny był dzień, pedam pannie. Wszystko potłukli, lustra, piękne meble, a dziewki rozegnali, w czem która była. Jedna to ci przyleciała do mnie, nagusieńka, jak ją Pan Bóg stworzył, tylko aksamitkę miała na szyi. Żebym tak jutra nie doczekała, jak nie łżę. Dopiero to było śmiechu, chłopy perskie oczy do niej robią, a ona się kuli i prosi: pani Kapuścińska, okryj mnie czem, bo mi wstydno...

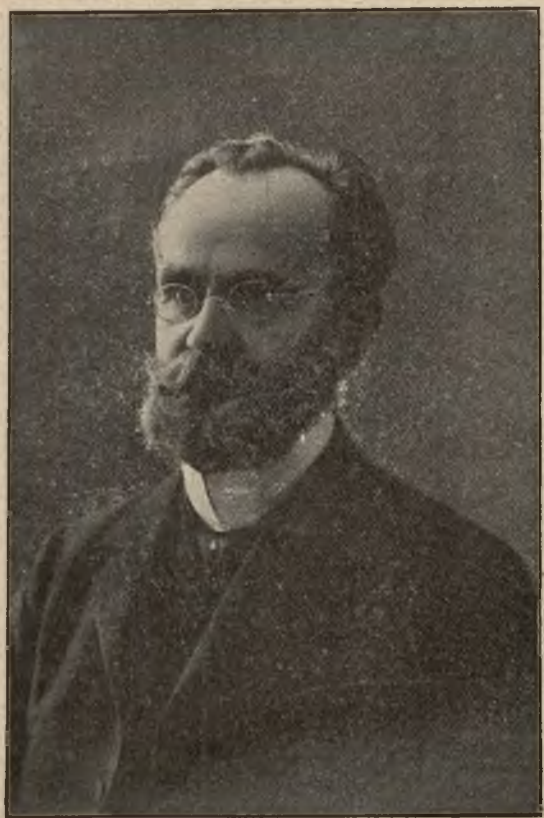
— To pani się nazywa Kapuścińska? — przerwała te wywnętrzenia Anielka.

— Tak, Zenobia Kapuścińska.

— Z męża?

— Z jakiego tam męża? z ojca jestem Kapuścińska. Zenobia Kapuścińska, a raczej z matki, bo dyabeł tam wie, jak się mój ojciec nazywał, bo i moja matka nawet nie wiedziała. Ale o czem to ja chciałam mówić? a! o tej dziewce, co tylko w aksamitce na szyi przyleciała do mnie. Śmiechu było co nie miara, aż mię brzuch zabolał, i jak sobie przypomnę, to mnie jeszcze śmiech bierze.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Dwudziestolecie krakowskiego Tow. ratunkowego: Radca dworu, prof. dr. B. Wicherkiewicz, obecny prezes Towarzystwa.

Koszt dreadnoughtu a statków powietrznych.

Z chwilą, gdy usiłowania podbicia atmosfery zaczęły przybierać realniejszą formę, natychmiast zwrócił na nie baczne oko militaryzm. Zaczęto poważnie się zastanawiać, czy żegluga powietrzna nie zmieni zupełnie warunków walk lądowych, a szczególniej morskich. Ponieważ zarówno balony do kierowania jak aeroplany są o wiele tańsze od morskich potworów, zwanych dreadnoughtami, jęto na tej podstawie żywić nadzieję, że dzięki rozwojowi aeronautyki floty wodne staną się z czasem zbyteczne, że więc w ten sposób będzie można ulżyć jęczącym pod ciężarem wydatków na zbrojenia społeczeństwom.

Pięknie i zachęcająco brzmią podobne wywody, niestety jednak znawcy odmawiają im słuszności. Jeżeli kiedyś dojdzie do wojny, prowadzonej równocześnie na morzu i w powietrzu, okręt zetrze się z okrętem, a nawet aeroplan walczyć będzie tylko z aeroplanem, aerostat zaś z aerostatem. Przeciwne zapatrywania dały wprawdzie Wellsowi sposobność do napisania zajmującej i sensacyjnej powieści z przyszłości, nie zgadzają się jednak z naukowemi doświadczeniami.

Jeżeliby wszakże było możliwe zastąpić dzisiejsze okręty wojenne balonami i aeroplanami, opłaciłoby się to ludzkości napewne. Za dowód niech posłuży załączony rysunek, przedstawiający obok dreadnoughtu flotę powietrzną, złożoną z 287 statków, którąby za jego cenę można zbudować. Nawiasem dodajemy, że nagromadzenie tylu maszyn do latania obok siebie w rzeczywistości byłoby niemożliwe. Wiatr, powstający wskutek ruchu tylu aparatów, odebrałby aeronautom zdolność panowania nad nimi.

Na rycinie widzimy:

1. 29 Zeppelinów.
2. 13 Parsevalów z „powietrznym krążownikiem“ Lebaudy'ego na czele.
3. 3 krążowniki Lebaudy'ego.
4. 27 monoplanów Blériota.
5. 74 biplanów Wrighta.
6. 4 aeroplany typu Vanadium.
7. 69 biplanów Curtissa.
8. 46 hydro-aeroplanów Curtissa.

Z. Powietrzny dreadnought I. klasy systemu Zeppelina.
D. Powietrzny krążownik I. klasy systemu Deutscha.
L. Powietrzny krążownik I. klasy systemu Lebaudy'ego.
P. Krążownik Parsevala.
B. Baldwin.
S. Santos Dumont.
C. Okręt admiralski małych aeroplanów do służby wywiadowczej.
C_1. Monoplan Curtissa.
C_2. Powietrzny statek wywiadowczy.
f. Biplan Farmana.
w. Wright.
b. Blériot.
a. Antoinette.

„Dreadnougty“ mają flagi kwadratowe z przodu i z tyłu, krążowniki chorągiewki o dwu ostrych końcach, „okręty wywiadowcze“ flagę trójkątną.

Dwudziestolecie krakowskiego Tow. ratunkowego.

W dniu 6 czerwca b. r. minęło 20 lat od chwili, gdy na ulicach Krakowa pojawiła się po raz pierwszy karetka ochotniczego Towarzystwa Ratunkowego, instytucyi najbardziej może humanitarnej ze wszystkich, jakie podwawelski gród dotąd posiada.

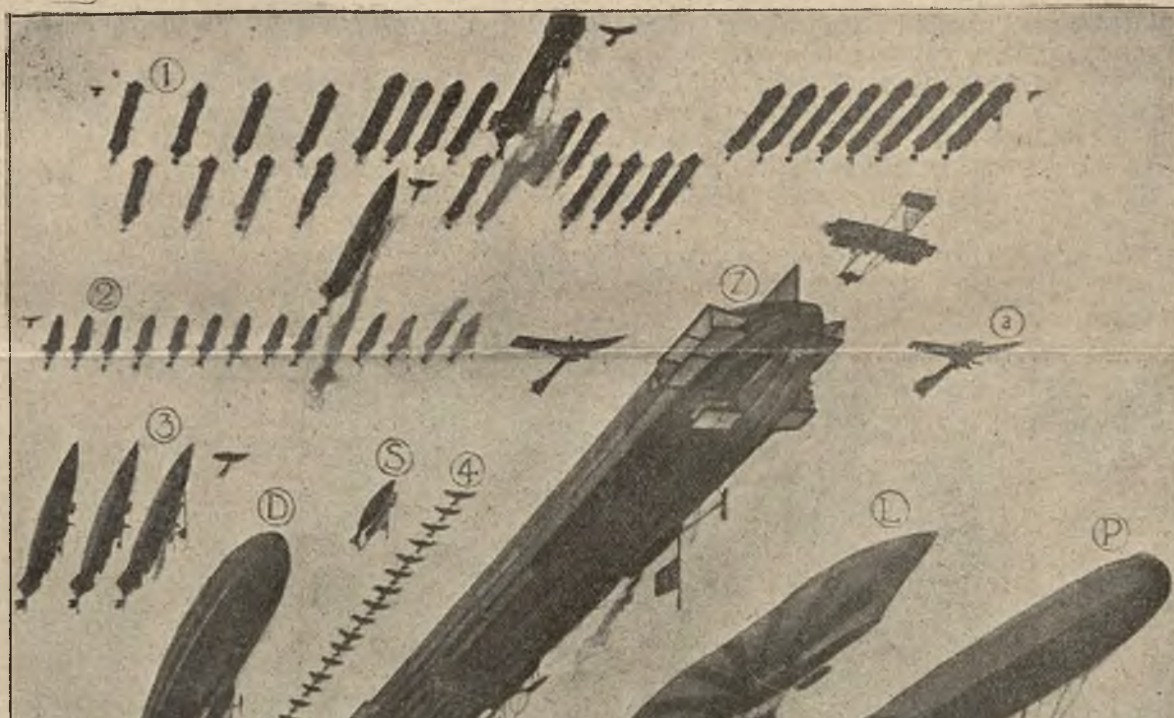
Na zaproszenie ludzi dobrej woli, między nimi znanego dziś okulisty, a wówczas słuchacza medycyny, dra Arnolda Banneta, przybył do Krakowa Jarosław baron Mundy, aby i tutaj, podobnie jak we Wiedniu i innych stołecznych miastach Austryi, założyć stacyę ratunkową, mającą na celu niesienie bezinteresownej pomocy w nagłych wypadkach, kiedy najdroższy skarb człowieka, bo zdrowie i życie, jest zagrożone.

Ówczesna rada miejska odczuła szlachetny cel fundatora i pospieszyła z wybitną materyalną pomocą, ofiarowała nadto ubikacye na pomieszczenie pogotowia, oddając do wyłącznego użytku stacyi konie, woźnicę i służących.

Podczas gdy bar. Mundy urządzał stacyę ratunkową, nieodżałowanej pamięci pierwszy prezes towarzystwa, ś. p. profesor Obaliński, składał kadry ochotników, rekrutujących się z słuchaczy wyższych kursów wydziału lekarskiego. Dzięki ich wspólnym zabiegom i pomocy rady miasta mogło pogotowie ratunkowe wyjechać z pomocą po raz pierwszy w dniu 6 czerwca 1891, który to dzień uważać na-



Dwudziestolecie krakowskiego Tow. ratunkowego: Dr. med. Arnold Bannet, członek honorowy Towarzystwa, jeden z założycieli.



Koszt dreadnougthu a statków powietrznych: Graficzny obraz floty powietrznej, której koszt równa się cenie jednego dreadnoughtu.

leży za datę założenia tego pożytecznego towarzystwa.

Przez 20 lat swej działalności krakowskie Towarzystwo Ratunkowe, spełniając należycie swe samarytańskie zadanie, rozwinęło się z czasem w instytucyę, bez której Kraków dziś chyba nawet nie mógłby się obejść. Zaufanie publiczności, z początku dość pessymistycznie zapatrującej się na nowe przedsięwzięcie, z roku na rok wzrastało, stąd też liczba udzielonej pomocy z roku na rok co najmniej się podwajała; dziś przekroczyła już sześćdziesiąt tysięy.

Główna to zasługa wydziału towarzystwa, na czele którego, od ustąpienia z prezesury profesora Obalińskiego, stoi do obecnej chwili radca dworu, profesor dr. Wicherkiewicz, oddany tej instytucyi całą duszą, zasługa dalej słuchaczów wydziału lekarskiego, którzy przez całe lat 20 chlubnie i bezinteresownie spełniają służbę lekarską.

Przyznać jednak trzeba, że Towarzystwo nie cieszy się takiem poparciem społeczeństwa, na jakie sobie zasłużyło. Gdyby nie subwencye sejmu, rady miasta, Kasy Oszczędności i Towarzystwa Ubezpieczeń, z trudnością przyszłoby związać koniec z końcem, wkładki bowiem członków, choć bardzo niskie, stanowią w budżecie corocznym bardzo skromną pozycyę. Wystarczy zaznaczyć, że gdy w chwili założenia zgłosiło się odrazu stu pięćdziesięciu członków, dziś liczba ich nie podniosła się nawet do dwustu! Tylko nadzwyczaj oszczędna i zapobiegliwa gospodarka wydziału, oraz okoliczność, że młodzież lekarska przez lat 20 pełniła dyżury bezinteresownie, dozwoliły towarzystwu przebyć owe pierwsze dwudziestolecie.

Nowy okres zapowiada się już lepiej, gdyż krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń ofiarowało z okazyi swego pięćdziesięcioletniego jubileuszu kwotę 10.000 koron na rzecz towarzystwa, a rada miejska uchwaliła wstawić w budżet 3.600 koron na opłacenie lekarzy, którzy od lipca b. r. rozpoczną na stacyi regularną służbę ratunkową. W ten sposób będzie krakowskie towarzystwo mogło stanąć na równi z innemi, gdzie od chwili założenia pełnią służbę lekarze dyplomowani. Te dwa przykłady zachęcą może ogół, może znajdzie się jaki szlachetny filantrop, dzięki któremu sprawa budowy własnego domu Towarzystwa Ratunkowego przejdzie wreszcie z krainy planów na teren rzeczywistości.

Wydział towarzystwa uczcił dwudziestą rocznicę założenia uroczystem posiedzeniem, na którem prezes prof. Wicherkiewicz skreślił dotychczasową działalność, złożył hołd założycielom i podziękował w gorących słowach instytucyom i osobom, które w jakikolwiek sposób popierały dotychczasowe usiłowania szlachetnie myślących jednostek.



Doraźny zlot sokoli: Naczelnik oddziału sanitarnego w pochodzie.



Doraźny zlot sokoli: Narada sztabu podczas marszu.

Doraźny zlot sokoli.

Sokolstwo nasze nie ustaje w pracy nad doskonaleniem fizycznem swych zastępów a coraz liczniejsze kadry ćwiczących każą wierzyć, że idea sokola, hasło: w zdrowem ciele — zdrowy duch, przyjmie się w całem społeczeństwie.



Dwudziestolecie krakowskiego Tow. ratunkowego: Karetka pogotowia, wraz z dyżurnymi medykami i sanitaryuszem.

Wyrazem usiłowań kierownictwa tej instytucyi w zakresie fizycznego wychowania swych członków, był ostatni doraźny zlot sokoli okręgu krakowskiego, poprzedzony ćwiczeniami polowemi na wzór wojskowy, w okolicy Trzebini i Chrzanowa.

Te ćwiczenia polowe stanowiły najbardziej interesującą część zlotu. Udział w nich wzięły trzy drużyny: północna, południowo zachodnia i południowo-wschodnia. Zadaniem obu południowych drużyn było, obok jak najdalszego posunięcia się ku północy, złączenie się i wspólne zaatakowanie drużyny północnej. Drużyna północna miała się bronić. Wskutek jednak nie zupełnie dobrych informacyi, drużyny południowe opóźniły się nieco w pochodzie, dzięki czemu drużyna północna wyprzedziła je, nie dopuściła do ich połączenia się, a jako silniejsza od pojedynczych drużyn południowych „rozbiła" je — oczywiście w teoryi — i odniosła zwycięstwo, także teoretyczne.

Ćwiczenia te były bardzo efektowne i wykazały znaczną sprawność drużyn, mimo rozmaitych trudności, przedewszystkiem gwałtownej burzy z ulewą i piorunami, która przeciągnęła w czasie ćwiczeń nad Trzebinią.

Dalszy ciąg zlotu odbył się w Chrzanowie, który dając posłuch odezwie miejscowego gniazda, udekorował swe domy i wystąpił z serdecznem, owacyjnem przyjęciem miłych gości.

Po defiladzie wszystkich uczestników zlotu, reprezentujących 30 gniazd okręgu, część Sokołów udała się na nabożeństwo do kościoła parafialnego, reszta zaś ruszyła na boisko, celem odbycia prób ćwiczeń zlotowych.

Ćwiczenia te odbyły się popołudniu na boisku na błoniach pod Kątami, tuż obok Chrzanowa. W program popisu weszły ćwiczenia kilofami, reprezentowane przez drużynę gniazd północnych, dalej ćwiczenie wolne, laskami, lancami, piramidy i ćwiczenia na przyrządach. Na zakończenie wreszcie odbyły się ćwiczenia bronią, wykonane przez trzy plutony sokole.

Wrażenie całego zlotu było bardzo zadawalające i dodatnie i złożyło świadectwo ciągłego postępu i rozwoju pracy nad urzeczywistnieniem idei sokolej.



Wystawa przemysłu na statku: Grono funkcyonaryuszów zarządu wystawy z dyr. Błeszyńskim (X) w pośrodku.

Wystawa przemysłu na statku.

Śladem lwowskiej Ligi pomocy przemysłowej, która przed pięciu laty zorganizowała pierwszą ruchomą wystawę okazów przemysłu galicyjskiego i z wystawą tą objechała całą Galicyę, ciesząc się wszędzie poparciem ogółu i propagując bardzo skutecznie hasło popierania wyrobów swojskich, poszło Koło samopomocy handlowo przemysłowej przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Instytucya ta mianowicie urządziła również ruchomą wystawę prób i wzorów przemysłu Królestwa polskiego, wystawę bardzo piękną i obficie zaopatrzoną, choć nie dającą pełnego obrazu dzisiejszego stanu przemysłu w Królestwie polskiem, przemysłu — jak wiadomo — silnie rozwiniętego.

Pierwsze kroki około stworzenia tej wystawy podjęto jeszcze 1909 r. Na kierownika jej powołano jednego z najdzielniejszych, najenergiczniejszych członków Koła, p. Józefa Błeszyńskiego, który zaznajomiwszy się we Lwowie z techniczną stroną takiego przedsiębiorstwa, podjął następnie w Warszawie, przy współudziale zarządu Koła, energiczną pracę około zorganizowania wystawy. Rozesłano więc przedewszystkiem wielką liczbę kwestyonaryuszy celem przekonania się, czy wystawa mogłaby liczyć na powodzenie. Odpowiedzi wypadły przychylnie, również wystawcy zgłaszali się coraz gromadniej, przyrzekając swój współudział. — Wobec tego dokonano ostatnich kroków, celem urzeczywistnienia wystawy.

Złożyły się na tę wystawę następujące działy:



Wystawa przemysłu na statku: Statek „Wawel" mieszczący ruchomą wystawę okazów przemysłu Królestwa polskiego.



Popis ułanów Sokołów: Oddział konny Sokoła lwowskiego w mundurach ułańskich.

broń, wyroby budowlane, dewocyjne, galanteryjne, garbarstwo, kuśnierstwo, wyroby ze skóry, dalej guzikarstwo, farby, smary olejne, pasty, atramenty, kosmetyka, leki, mydła, perfumerya, maszyny, meble, szkła, ramy, naczynia, ogrodnictwo, przyrządy, instrumenty, zegarmistrzostwo, optyka, rolnictwo, produkty spożywcze, szczotkarstwo, koronkarstwo, szmuklerstwo, hafciarstwo, wreszcie wydawnictwa i zabawkarstwo.

Uzyskawszy od władz rosyjskich pozwolenie na objazd miast w Królestwie, zarząd wystawy — po kilkudniowym pobycie w Warszawie — ruszył w drogę na prowincyę i bawił kolejno w całym szeregu miast, wszędzie zdobywając ogólne uznanie i zaciekawiając szerokie koła konsumentów.

W ubiegłym miesiącu podjęto nową myśl, mianowicie przeniesienie całego zbioru na statek i objazd drogą wodną dalszych miast Królestwa, położonych nad brzegami Wisły. Przedtem jednak postanowiono zatrzymać się z wystawą przez kilka dni w Krakowie celem zaznajomienia tutejszej publiczności z najważniejszemi gałęziami przemysłu w Królestwie polskiem, oraz nawiązania stosunków handlowych między Galicyą a Królestwem, skąd powinno się sprowadzać wszystkie te wyroby, których u nas się nie wytwarza.

Wystawa ta urządzona jest na statku „Wawel“, który, pięknie udekorowany z zewnątrz, wypełniony jest cały okazami wystawowymi.

Kierownikiem całego przedsiębiorstwa jest p. J. Błeszyński, a współpracownikami pp. J. Sendek, M. Grendyszyński, K. Machowski i Werner.

Publiczność krakowska śpieszy bardzo licznie na plac Groble, u którego brzegów statek „Wawel“ zajął stanowisko i zwiedza z ogromnem zainteresowaniem piękną wystawę.

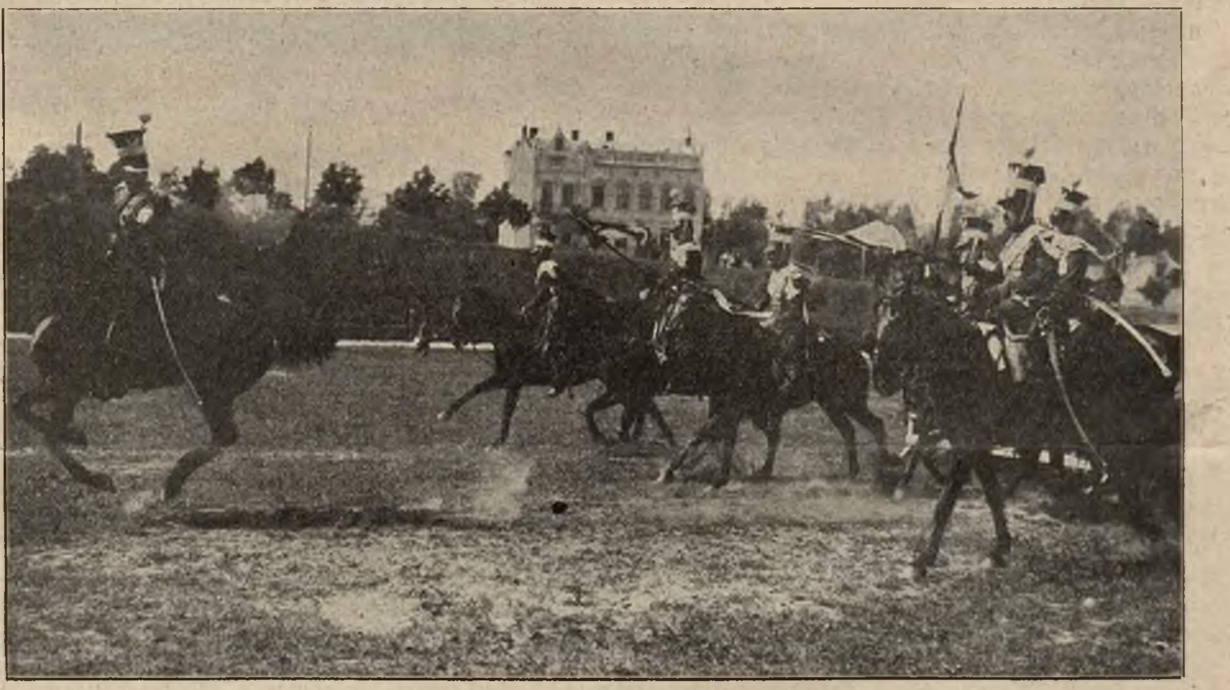
W numerze dzisiejszym zamieszczamy ogólny widok statku, mieszczącego wystawę oraz grupę jej kierowników z dyrektorem Błeszyńskim w pośrodku.

---

bronionej dzielnie przez pułkownika Mangin, rozbijały się jeden po drugim szturmy zbuntowanych szczepów, ale stare i prymitywne fortyfikacye Fezu nie dawały pewności, że zdołają przez dłuższy czas powstrzymać napór oblegających, załoga była zbyt nieliczna, a odsiecz, wiedziona przez generała Moinier, tylko zwolna i wśród nieustannych utarczek posuwała się naprzód przez kraj pełen zarówno przeszkód naturalnych, jak i ożywionych duchem fanatyzmu i nienawiści do Europejczyków nieprzyjaciół. Jeźdźcy marokańscy utrudniali mehalli Moinier'a dowóz żywności, a unikając większego spotkania, uderzali na oddziały, wysłane na zwiady, zagrażali taborowi i jucznym wielbłądom.

To też rozważny wódz francuski nie śpieszył się. Niejednokrotnie podnosiły się we Francyi głosy, pomawiające go o opieszałość, która może skończyć się tragicznie dla Fezu i wogóle dla interesów rzeczy pospolitej w północnej Afryce. Znawcy jednak strategii i marokańskich stosunków byli innego zdania, a taktykę Moinier'a uważali za zupełnie poprawną. Wypadki stwierdziły słuszność ich poglądów.

Śledzący wypadki w Marokku czytelnicy gazet, znudzeni długiem trwaniem pochodu generała, przestali już szukać odnoszących się do niego depesz. Zresztą uwagę ich zaabsorbowały inne wypadki, jak n. p. katastrofa w Issy-les-Moulineaux i ostatnie tryumfy awiatyki. A tymczasem Moinier postępował naprzód powoli, ale pewnie — i pewnego pięknego poranku, a właściwie koło południa stanął pod murami Fezu.



Popis ułanów Sokołów: Fragment z ćwiczeń popisowych. (Fot. M. Münz, Lwów).

Francuzi w Fezie.

Przez dłuższy czas było położenie w Marokku krytyczne dla sułtana Muleja Hafida i sprzymierzeńców jego, Francuzów. Wprawdzie o mury stolicy,

Zamiast band powstańczych, które nie śmiały mierzyć się w otwartem polu z kilkunastotysięczną armią francuską i odstąpiły od oblężenia, aby nie znaleść się między młotem a kowadłem, wyszedł na jego spotkanie pułkownik Mangin w towarzystwie dostojników marokkańskich. Po przywitaniu wojska Moinier'a rozłożyły się obozem o $1^1/_2$ kilometra od murów miasta, ażeby wypocząć po uciążliwym marszu. Znużony ich wódz dopiero dnia następnego udał się do pałacu sułtana, który zgotował mu przyjęcie wspaniałe i uroczyste. W ogrodach pałacowych odbyło się śniadanie, a po śniadaniu rada wojenna. Zastanawiano się nad środkami stłumienia buntu i ułożono w ogólnych zarysach plan dalszej kampanii.

Opisane powyżej wypadki są niewątpliwie świetnym tryumfem francuskiej polityki w Marokku. Mulej Hafid dla utrzymania się na zachwianym tronie, rzuci się bez zastrzeżeń w objęcia sprzymierzeńców, którzy w własnym, dobrze zrozumianym interesie pozostawią mu pozory władzy, zadowalając decydującym wpływem na rządy. Od zaboru wstrzyma ich obawa komplikacyi politycznych. Przywrócenie porządku w pogrążonym w zamęcie kraju będzie już tylko kwestyą czasu. Zapewne będą także czuwać nad swym protegowanym, ażeby w zemście nad powstańcami nie posunął się zbyt daleko i położą tamę jego okrucieństwom. Wogóle zadowoleni będą wszyscy — oprócz Niemców. Ich prasa podniosła już przy pierwszej wysyłce wojsk republiki do Marokka hałaśliwe skargi, że sprzeciwia się to uchwałom konferencyi w Alegeciras. Ale Francuzi nie dali się odstraszyć od energicznej akcyi. Zapewne i w przyszłości nie będą wiele sobie robić z pogróżek niemieckich.



Francuzi w Fezie: Si Tajeb el Mokri, marokkański minister finansów, pasza Fezu i inni dostojnicy stolicy witają generała Moinier 21 maja b. r.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

33

Motłoch rzucił się na trupa, jak stado zgłodniałych hyjen i jął go szarpać, rwać na kawały a potem sponiewierane, zbeszczeszczone szczątki wlec na postronku do latarni... i cieszyć się i radować i wyć z uciechy, że nareszcie... zamordował i shańbił niewinnego człowieka.

XIX.

Zaledwie ciało generała Jankowskiego zawisło na latarni, już tłumowi rzucono nowego trupa.

— Który — który zbrodzień!? — zagadało mrowie.

— Fanshave! — odpowiedziano z Zamku.

Nazwisko szambelana jakby zdziwiło ciżbę.

— „Fencz"? — „Fencz"!?? — Ki dyabeł? — mruknęły głosy.

— Musi najgorszy, kiedy go na drugiego „wzieni"!

— Za nogi wieszać, za nogi, szelmę!!

— Wiwat!!...

I na latarni sąsiedniej, obok Jankowskiego, zgrzytnęło kółko pod gniotem naprężonego sznura.

Plac zawył z uciechy i rozognione, obłąkane spojrzenie zaparł na murach Zamku...

Zamek mrugał pochodniami i milczał...

Plac warknął gniewnie, niby zwierz zgłodniały na niedość żwawego karmiciela.

A tymczasem śród labiryntu komnat, sal, krużganków i korytarzów zamkowych „elita" tłumu czyniła wszystko, byle coprędzej jego woli stało się zadość, byle wymiar sprawiedliwości na sekundę nie chybił.

Ale cóż, zadanie było trudne. Więźniów licho co zostało po przenosinach do Brühlowskiego pałacu a ci, co trwali, ci, jako zazwyczaj nikczemnicy, pochowali się, zaszyli w kąty i ani myśleli honorem imponować. Nadomiar bobrujące czeredy obywateli i obywatelek wypędziły klaczników, zniosły warty a co ważniejsze i kaganki i światła...

Plac huczał ze zniecierpliwienia a „elita" przebiegała zamkowe komnaty, ścierała się ze sobą, wodziła, po raz piąty do tych samych wracała kątów, naprożno. Zdrajcy jakby się pod ziemię zapadli.

I możeby istotnie uszli, gdyby nie ukazanie się w krużganku nowego oddziału, prowadzonego przez małą, chudą postać i tęgiego draba w sutym uniformie partyzanckim.

Oddział ten ani zważał na ciżbę i zapuścił się w korytarz najbliższy.

— Tam żywego ducha! — ostrzegła ciżba.

— Za mną! — uparła się chuda postać i rzuciwszy się ku przodowi, wskazała na małe, niewidoczne prawie drzwi.

Oskardy i siekiery rozpłatały zaporę. Światło pochodni wdarło się w głąb...

— Jest! — syknął żmijowy głos.

Oddział na to zawołanie jakby osłupiał, jakby w ziemię wrósł... bo oto tam, w rogu komnatki stał cień wyprężony, o twarzy woskowej, z oczyma wytrzeszczonemi, niby lala z magazynu komisaryackiego mundurem generalskim opięta, niby upiór.

Nastąpiła wieki trwająca... sekunda ciszy...

Aż przed oddział wysforował się imć Korytko.

— Generale S łacki — ozwał się z powagą — trybunał ludu wzywa cię...

Korytko nie dokończył, bo tuż z za jego pleców drąg żelazny spadł na czaszkę generała. Sałacki runął, pryskając mózgiem.

Oddział wrzasnął. Nastąpił zgiełk, tumult, bo każdy pałasz, każdy bagnet, nóż, siekiera chciały krwie sprzedawczyka zakosztować.

— Ludowi go dać na skaranie! — zapiszczała chuda postać. — Brać! — Reszta za mną!

— Wiwat Kościołowska! — Niech żyje!

— Za mną!

Sześciu chwyciło krwawą, bezkształtną masę — inni podążyli za Kościołowską, która już wpadła do sąsiedniej komnaty.

Sąsiednia komnata wiała pustką.

Drab w mundurze partyzanta skoczył do łóżek i roztrząsł je.

— Umknęli!

Kościołowska wskazała na otwarte okno.

— Na taras! W ogród!

Oddział zatoczył się i poszedł za swoim wodzem.

I po krótkiej bieganinie śród klombów i kwietnych floresów, w podcieniu lip rozłożystych, wybuchły dwa idące po sobie, spazmatyczne odgłosy wrzawy a po nich znów dwie latarnie przed Zamkiem zakołysały trupami. A że z powodu tych nowych trupów na placu wszczęła się wątpliwość — tedy imć pan Brawacki, wszech nauk lekarskich chirurg a oprawców dowódzca, uczynił dwa nowe napisy: „radca stanu Bentkowski" i „Bukowski dywizyi łysobockiej generał..."

Po tej rozprawie na tarasie, oddział Kościołowskiej, choć uszczuplony nieco, bo ten i ów z ochotników zawieruszył się, jeszcze wrócił na korytarze, jeszcze szukał i szukał długo... Tak długo, że podkomendnym już cierpliwości brakło, że w oczach topnieli, że woleli pójść za okrzykami, które poprzez mury wzywały trybunał do „Prochowni", do „Franciszkanów".

Ale ci, co wytrwali przy Kościołowskiej, sowitą wzięli nagrodę. Bo w momencie po przepatrzeniu wielkiej sali jakiś wykrzywiony garbus zaskrzeczał ze złością:

— Co ta obywatel Sikorski!... Ludzie, czasu szkoda! Do prochowni.

W tym samym momencie Kościołowska żgnęła nożem w porzucony pod stołem toboł... Toboł jęknął i bluznął krwią.

— Hurtig!

Ostrza łysnęły.

Kościołowska zagrodziła im drogę.

— Żywcem go! — Strykiem za nogi i wlec!

— Tylo, że mu jednego ślepia zmrużę! — oparł się im pan krawiec Morawski i błyskawicznym ruchem ostrzem pałasza zakręcił w oczodole komendanta Zamościa.

Generał zaskomlał nieludzkim głosem. Powróz spętał mu nogi i szarpnięty przez kilkanaście rąk, jął wlec Hurtiga z tryumfem na podwórzec zamkowy, kędy generał miał przeżyć jeszcze własne trzewia!...

Pojmanie Hurtiga było atoli ciosem i dla Kościołowskiej. Z oddziału mnogiego został przy niej jeno ów partyzant, mieszczuch łysy, dwóch oberwańców i garbus z jedyną pochodnią, który wręcz groził wymówieniem posłuszeństwa.

Kościołowska zerknęła do partyzanta.

— Chyba do prochowni!

Partyzant rzucił jej w odpowiedzi jakiś wyraz. Oczy Kościołowskiej zaiskrzyły się.

— Szpiegówek trza napocząć!

— Co pani! Do prochowni wołają!

— Milcz! Za mną!

— Dragoński, psiawiaro!

— Z babami poigrać! Nuże ludzie!

Gromadka rzuciła się za Kościołowską. I nie zawiodła się na niej, bo snać właścicielce kawiarni pod „Dziurką" szczęście sprzyjało. — Na drugim zakręcie już przenikliwe jej, nabiegłe krwią oczy wykryły we wnęku dygoczący cień człowieka i, o dziwo, miast go podać na rozpłatanie — wpiły się weń łaskawie.

— Ten nam wyśpiewa! Trzymać go! Tyś klucznik?...

— Na Boga... nie...

— Gadaj! Otworzyć mu kołnierza! Gdzie baby?...

— Nie wiem... zlitujcie się... ja... — bełkotał cień.

Nóż Kościołowskiej musnął go po gardle.

— Są... aby trzy... cztery są... Tu zaraz... schodami... Rany Boskie!...

— Prowadź!

Pochód ruszył i dotarł do długiego korytarza, na który wychodziło kilkoro drzwi.

Mieszczuch szarpnął klucznikiem.

— Gdzie!?

Wargi klucznika poruszyły się drżeniem.

— Tu...

Partyzant nastawił bagnet. Jeden z oberwańców rąbnął siekierą w odrzwia i przepołowił je na części.

Otwarta izdebka zabrzmiała okrzykiem przerażenia.

Partyzant pochylił bagnet.

— Brać się do miodu, chłopcy! — napominała Kościołowska i wpadła za partyzantem we drzwi.

Gdy naraz, od strony zasłoniętego kotarą łóżka, zerwała się wątła postać i padła przed bagnetem na kolana.

— Moja matka niewinna... zaklinam was!!

Bagnet zawinął pogardliwie od ziemi i stłumił jęk... lecz w tejże samej chwili porwały zań jakieś drobne, wypieszczone ręce.

— Dziecka mi nie mordujcie!

— Puszczaj! — oburzył się partyzant.

Ale ręce zacisnęły się na bagnecie, jak klamry spiżowe.

— Panie, panie Sikorski! — wołał równocześnie głos szamoczącej się z bagnetem kobiety. — To ja, Bażanowa! Nie poznajesz-że mnie? — Ratuj! Zamordowałeś mi dziecko! — Wszak to pan, pan!... Ja z panem!!

Gromadka zbirów stała rozciekawiona. Sikorski targał z wściekłością karabinem. Kobieta wiła się, lecz nie puszczała bagnetu.

— Zmiłuj się! Cóżem ci uczyniła... Wszak byłam dla ciebie...

Krótki, przenikliwy śmiech rozległ się tuż i Kościołowska rzuciła się i skłębiła z ciałem pani Bażanow... Nastąpiło krótkie mocowanie się dwóch zdławionych oddechów, dwóch charkotów, dwóch śmiertelnych skurczów, aż z pod żmijowatego uchwytu Kościołowskiej trysnęła krew. Ręka kawiarki zesunęła się po łonie ofiary, zatoczyła śmielej i zanurzyła. Usta pani Bażanow zabulgotały różową pianą.

Kościołowska zerwała się i rzuciła Sikorskiemu pod nogi krwawą breję miazgi.

— Naści amory!

Sikorski a za nim oberwańcy próbowali się rozśmiać, lecz twarze ich jeno wykrzywiły się potwornie.

— A co, może jej się nie należało?! — syknęła baba, ocierając o porzucone odzienie nóż i ręce.

— Nie tylko jej ale i tobie, psiawiaro! — mruknął łysy mieszczuch.

Kościołowska wyszczerzyła doń swe długie, wystające zęby.

— Za to, żeś sam próchno! Widzicie go, jakiego to smaku obywatel Czarnecki nabrał!

Czarnecki targnął się ku babie — lecz z rozejmem pospieszył garbus.

— Bo też pani mogła się nie śpieszyć! Na szlachtuza było czasu zadość.

Kościołowska roześmiała się.

— Cha cha! Myślisz! Najdziesz żwawsze! Dalej, chłopcy!

Gromadka wyległa na korytarz. Sikorski ledwie że się za nią ruszył. Kościołowska w lot to spostrzegła.

— A tobie co?

— Bo cię opętało. Mitrężysz a najważniejszego nię patrzysz! Tamte może i uciekły!

— Nie minie ich. Lepiej im zadam!

— Aby bez głupstw! Skończyć odrazu i do „Prochowni", inaczej Luby nie sięgniemy!

— Duchem pójdzie! — bąknęła Kościołowska, zaczem krzyknęła na gromadkę — A wy co! Rusz się!

— Klucznik zemknął! Nie wiadomo!

— Co niewiadomo! Walić drugie drzwi!

Siekiery rąbnęły. Drzwi trzasły na części, prysnęły wiórami, lecz nie odsłoniły wnętrza.

— Chyba że mur albo jak!

Garbus nacisnął w bok jeden z kawałów drzwi.

— Bogame — całka forteca! — Chwytaj za deski! — Rąb!

Oberwańcy wydarli ostatek drzwi. Gromadka ujrzała przed sobą spiętrzoną barykadę ze stołów, stołków, łóżek i szaf.

Przeszkoda podnieciła napastników. Siekiery oberwańców i drąg żelazny garbusa w jednej chwili rozbiły górną część barykady.

— Zgarnąć resztę!

— Czekać! — Zajrzeć do szelmów!

— Nasunąć pochodnię!

Garbus a za nim Kościołowska i Sikorski wychylili się nad barykadą i spojrzeli w głąb.

— Cie, niema żywego ducha! — mruknął garbus, łypiąc dokoła oczami.

Kawiarka zachichotała cicho.

— Bo niema! — przytwierdził gniewnie Sikorski.

— Aby dwie pary ślepi!

— Gdzie?

— Widzisz w kącie, z lewej! Rusz-że światłem!

Pochodnia zwróciła się i rozproszyła ciemń lewego wgłębienia, ukazując dwie skulone postaci niewieście.

Sikorski warknął:

— Brać się!

— Ciągnąć bety!

— Dalej, obywatele!

— Na szpiegówki!

Gromada jęła na prześcigi rwać, burzyć ostatek barykady, rozwierać wolny przystęp do komnaty.

A postaci w kącie były wciąż jak skamieniałe. I gdyby nie konwulsyjne drżenie, które niemi targało, gdyby nie oczy pierwszej rozszerzone, gorejące bezsilną grozą, rzałoby się, iż życie z nich samo uleciało.

— Dosyć! — Naprzód! — Społem! — Za kołtuny chwytać!

Sześcioro rąk wyciągnęło się... gdy wtem między sunącą gromadę runął od strony korytarza złom

potrzaskanego stołu, roztrącił ją i zmieszał. Pochodnia wypadła z rąk garbusa.

W komnacie wynikł piekielny zgiełk i szamotanie.

Sikorski nawoływał, klął, lecz zamęt wzrastał. Przytomniejsza od innych Kościołowska chwyciła za pochodnię i dźwignęła ją.

Sikorski a z nim gromadka zawyła z wściekłości.

Oto w rogu komnaty, niby z pod ziemi, wyrósł jakiś oficer z pałaszem w ręku... Tuż przed nim tarzał się we krwi jeden z oberwańców. Czarnecki siedział pod ścianą z rozpłatanym policzkiem.

— Śmierć szpiegom!

— Z drogi zbóje! — zagroził oficer i wpadł na drugiego oberwańca i ciął go po ręku.

— Do nas obywatele! — Chwytać zdrajców!!

Oficer atoli tak zręcznie natarł, iż od wyłamanych drzwi odpędził gromadkę. Postaci niewieście wyrwały się na korytarz, oficer za niemi zaczął się cofać.

Sikorski a za nim garbus i Kościołowska rzucili za uchodzącymi:

— Będziesz wisiał, mości pułkowniku! — chrypiał augustowski partyzant, następując nań pochylonym karabinem.

— Nikczemniku!

— Tu jest Bem! Tu największy ze zdrajców! — Do mnie, obywatele!

— Brać Sikorskiego!

Sikorski, sekundowany przez drąg garbusa, parł coraz zajadlej. Bem wytrzymywał pałaszem natarcia, uchylał żądła bagnetu, wymykał się drągowi i cofał poprzez korytarze i komnaty zamkowe.

Kościołowska wrzeszczała o pomoc a miotała obelgami.

Ale szczęście Bemowi sprzyjało, bo nietylko zdołał ujść śmiertelnego razu, który mu garbus gotował, lecz przejście zagrodzić stołem i wpaść do następnej komnaty i drzwi na zasuwę zawrzeć.

Pogoń była przerwana na chwilę.

Bem atoli czasu nie tracił, zamknął i wtóre drzwi i dosięgnął trzeciej, wąskiej izdebki. Na tle okna dwa splątane cienie się ukazały.

— Pani kapitanowo!

Cichy spazm mu odpowiedział.

— To ja, Bem!

— Ratuj! Przez Boga!

— Odwagi! — Okno wychodzi na taras! — Rwijcie firanki!

Jeden z cieniów pospieszył pułkownikowi z pomocą. Bem jął drzeć pasy i wiązać je ze sobą. Jakieś małe, drobne rączki pomagały mu zwinnie.

Kapitanowa słaniała się u krawędzi okna.

W pobliżu rozległ się łomot wysadzanych drzwi.

— Idą! — jęknęła kapitanowa.

— Mają jeszcze jedne do wysadzenia!

— Pułkowniku, nie daj mnie!

— Po to przybyłem!... Zaraz! Jest raptem półtorapiętra!...

— Boże już są, tuż!

— Zdążymy! — Ostatni szmat!

— Ratuj!

— Jestem przy tobie, wszak dla ciebie wszystko, wszystko...

Rączki, pomagające pułkownikowi zatrzęsły się, pukle jedwabistych włosów musnęły go po twarzy. Bem nie zważał. Sznur był gotów. Pułkownik uwiązał go szybko do żelaznej galeryjki okiennej.

Drzwi w sąsiedniej komnacie dygotały i trzeszczały ostatkiem oporu.

Kapitanowa odchodziła od przytomności.

Bem porwał ją wpół.

— Tyś mój zbawca, tyś mój jedyny!... Ty mnie nie opuścisz!...

— Uchodźmy!... Każda sekunda mitręgi...

Pułkownik powlókł panią kapitanową do okna — lecz naraz obok rozległ się zgrzyt tak złowrogi, że Bem za pałasz porwał.

— Uchodź pani!

— Boże, nie mam sił...

— Uchodź! Zaklinam cię!

Do zgrzytu i łomotu przyłączyła się wrzawa piekielna. Sikorskiemu jakby odsiecz szła.

— Imać szelmów! — huczały głosy.

Bem z panią Marchocką wodził się daremnie. Kapitanową przytomność odbiegła. — Wczepiła się w ramię pułkownika i nie puszczała go.

— Błagam! Pani Anno! Ratuj się... Przewiążę panią...

— Nie daj mnie, nie porzucaj... ja dla ciebie...

Pułkownika desperacya już ogarniała.

Nagle drugi cień niewieści przypadł doń.

— Uchodźcie razem!

— Nie zdążę — przetną sznur...

— Ja ich zatrzymam!

— Co?!...

Miast odpowiedzi do ręki pułkownika przylgnęły na mgnienie małe, drobne usteczka i nikły, wiotki cień wionął do sąsiedniej komnaty.

Pułkownik nie zdołał ogarnąć jeszcze, co znaczyło to dziwne zachowanie się nieznajomej, gdy łomot, trzask i wrzawa zwiastowały mu zdobycie ostatniej zapory.

Wahać się dłużej było niepodobieństwem.

Bem objął ramieniem kibić pani Marchockiej i chwycił za sznur...



Jest — syknął żmijowy głos.

XX.

I noc krwawa, straszna, sierpniowa noc szalała w murach Warszawy; noc, która nie miała w dziejach polskich równej, noc ohydy, noc hańby, noc samobójstwa, noc, która obłąkanej, rozpasanej tłuszczy wydawała się być nocą wyzwolenia!

Lud warszawski był nocy tej jak człowiek, co przywiedzony do rozpaczy, krwawi własne członki, rany sobie zadaje śmiertelne, co ból duszy zagłuszyć pragnie bólem ciała.

Lud warszawski zresztą nietylko mordował, popełniał zbrodnie, ale i ufał i wierzył święcie, iż wymierza sprawiedliwość, iż karze tylko, iż tępi winowajców, iż żenie ze swego łona tych, co je ssali, zatruwali, toczyli.

Trybunał ludu warszawskiego sprawiał się bez mitręgi. Wieszał i dławił i niezawodnych szpiegów i pomówionych o szpiegostwo i tych, co wyglądali na szpiegów i tych, co nie wyglądali. Od Zamku pędził do Franciszkanów, od Franciszkanów do prochowni. A gdy mu ofiar zabrakło w więzieniach śledczych, domach karnych, szukał ich po mieszkaniach, imał po ulicach. Ścigał zarówno łotrów nie-chybnych, jak Makrot, Grünberg, Birnbaum, jak i zacnych obywateli. Zastawiał sieci nietylko na Lessla, lecz i na braci Łubieńskich. Nie dość było życia czterech polskich generałów, chciał jeszcze i Czartoryskiego i Skrzyneckiego i Lubowidzkiego i tych, których imiona między ciżbę padały.

Trybunał ten własnym rządził się kodeksem, własnym obyczajem. Koncept był mu dokumentem niewinności. Protest zbrodnią. Jęk, błaganie — hasłem do śmiechu. Strumień krwi bodźcem do oglądania nowego męczeństwa.

W trybunale tym działali wszyscy ci, którzy na odgłos rozruchów wylegli na miasto, których przypadek uwięził w ciżbie, których tłum powlókł. Opryszkowie, męty, płci obojga ćmy występku zagarnęły wodze. Oni prowadzili, oni wiedli, oni wydawali rozkazy.

Za nimi walił gromadami motłoch bezimienny, za nimi szła fala kramarzów, kupczyków, za nimi biegli ci, co na ulicach Warszawy udawali oficerów, żołnierzów, co od miesięcy snuli się po fetach, paradach, obchodach i karczmach, niby ojczyzny rycerze — za nimi wypełzło wszystko maruderstwo i wszystko tchórzostwo — za nimi nakoniec runęli klubiści, patryoci, krzykacze i zapaleńcy, trybunowie ludu, co od początku rewolucyi pławili się w historyi Konwentu, co śnili o Robespierrach, Maratach, Dantonach i Desmoulinach!

Ci ostatni bowiem, ci patryoci, zapaleńcy, utopiści noc tę sierpniową mieli za udaremnienie 18-go *brumaire'a*, za walkę, wydaną Bonapartemu... który pod postacią generała Dembińskiego nadchodzi, aby Radę pięciuset rozpędzić, Dyrektoryat obalić i ustanowić wszechwładne rządy Konsulatu, a może odrazu dyktatorem się obwieścić.

I ci utopiści wycie tłuszczy poczytali za głos ludu, za pieśń wolności, za hasło, że nareszcie przyszedł moment śniony, że nareszcie u steru staną ci prawdziwi bojownicy, ci najgodniejsi i jedyni narodu całego wybawiciele.

Stąd, jeżeli nawet w tłumie budziło się sumienie, jeżeli uczucie litości pragnęło się ozwać — milkło onieśmielone, upokorzone.

Wszak ci mordom towarzyszyły nie same nawet patryotyczne zawołania — ale i płomienne mowy luminarzów! Toć kto wątpił o racyi drapichrustów, prostaków, ten miał tuż i Dmochowskiego Franciszka i Radoszewicza w mundurze Komisyi wojny, i Gurowskich w gwardyjskich uniformach i Grodeckiego sędziego i Brawackiego w stroju sztabslekarza i Szynglarskiego w sutannie. A kto nakoniec nie odróżniał pani Chłędowskiej od jędzy i hetery z zaułka, komu nie trafiały do przekonania oficerskie epolety, natchnione oblicza Krępowickiego, Boskiego, Dembińskiej, Płużańskiego, Czyńskiego, Matusewicza, Kozińskiego i legionu innych, ten musiał lec pod gromami przemówień Pułaskiego, boć gromy te znał z kościoła, z ambony, boć Pułaski był i klubistą i „Honoratki" dygnitarzem i kaznodzieją!

A Rząd narodowy a władze rozliczne, ładu i obyczajności wszelkiej strażnicy? — Ostatnim ich drgnieniem, ozwaniem się, była owa niefortunna obrona Zamku, owo wkroczenie do bramy generał-gubernatora na czele dwóch kompanii piechoty...

Od tej chwili znikli, zapadli się wszyscy.

Książę Czartoryski przed napadem tłumu schronił się do obozu. Lelewel szczezł między klubistami, nie było ani Morawskiego, ani Barzykowskiego, ani dyrektora policyi, ani municypalności, ani dowódzcy gwardyi, ani żadnego z tych, co stanowili.

Po salach pałacu Radziwiłłowskiego snuł się, błąkał jeden Niemojowski.

Rozhukany żywioł wdarł się na nadbrzeżne piaski, co ziemi były tarczą i zmiótł je i pochłonął.

Mrowie rządziło Warszawą, a w mrowiu tem już nowe rodziły się ambicye, już nowi urastać chcieli oligarchowie.

Rdzeń Klubu patryotycznego radził. Panowanie stało otworem... Jak je pewniej zagarnąć, jak się podzielić liktorskiemi rózgi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr włościański w Sierszy.

(Do illustracyi na str. 4).

Na zachodnich kresach Galicyi, w górniczej miejscowości Sierszy, istnieje od lat kilku Koło T. S. L., rozwijające tam bardzo energiczną pracę oświatową i narodową wśród ludności miejscowej i okolicznej. W czytelni Koła, zaopatrzonej w wiele bardzo książek zajmującej treści, odbywają się często odczyty i wykłady popularne, to też ludność garnie się do niej tłumnie, z wielką dla siebie korzyścią, spędzając czas na pożytecznej rozrywce, zamiast po karczmach i szynkowniach tracić czas, zdrowie i pieniądze.

Dowodem skutecznej działalności Koła i jego kierowników jest zorganizowana tam niedawno trupa amatorska włościańska, dająca od czasu do czasu bardzo udatne przedstawienia popularnych sztuk. Ostatnio wystawił ten teatr doskonałą sztukę ludową Domnika, znanego ogólnie autora, p. t. „Ojcowizna“. Przedstawienie to ściągnęło do sali bardzo liczną publiczność, a że amatorowie wywiązali się z trudnego zadania nadspodziewanie dobrze, więc oklaskiwano i aktorów i dzielnego reżysera p. Strzelczyka.

Nie ulega wątpliwości, że włościański teatr amatorski w Sierszy ma zapewnioną przyszłość i że w życiu narodowem i towarzyskiem ludności tamtejszej odegra bardzo ważną a dodatnią rolę.

Zawodowa szkoła gospodnio-szynkarska.

Z inicyatywy stowarzyszenia gospodnio-szynkarskiego we Lwowie a przy poparciu instruktora stowarzyszeń przemysłowych dra Schönetta, powstała w stolicy kraju z początkiem obecnego roku szkolnego nowa szkoła zawodowa, mianowicie szkoła przemysłowo-uzupełniająca dla kandydatów przemysłu gospodnio-szynkarskiego.

Nauki udzielano w lokalnościach szkoły miejskiej im. Kościuszki pod kierownictwem dyrektora A. Bojarskiego. Plan nauki obejmował stylistykę w języku polskim i niemieckim, historyę polską, rachunkowość, towaroznawstwo, hygienę, kaligrafię oraz wiadomości z zakresu zawodu. Nauki udzielali pp. dyr. Bałaban, prof. Grossman i Gutkowski, lekarz dr. Frankowski, członek stowarzyszenia Nowakowski i dr. Ruebenbauer, chemik.

Kilkumiesięczna praca na kursie, prowadzona w godzinach popołudniowych, wydała zupełnie za dowalające wyniki. Kurs ukończyło poważne grono uczniów, przygotowanych należycie do przyszłego zawodu.

Inicyatorom kursu, kierownikom stowarzyszenia gospodnio-szynkarskiego, radnemu Janowiczowi i p. Löwenheckowi, należą się słowa rzetelnego uznania za przyprowadzenie do skutku pożytecznej szkoły.

Z sezonu footballowego.

Publiczność krakowska rozmiłowała się naprawdę w sporcie footballowym. Każdy match, urządzany na boisku pozlotowem, zwłaszcza ze znanemi drużynami zagranicznemi, ściąga na trybuny tłumy publiczności z najlepszych sfer. A było tych matchów ostatnimi czasy bardzo wiele. Prócz zawodowej szkockiej drużyny „Aberdeen“, która dwukrotnie grała z „Wisłą“, bawili w Krakowie Węgrzy, grupujący się około „Nemzeti Sportclubu“ w Budapeszcie, dalej „Deutscher Fussballclub“ z Pragi, wreszcie ostatniej niedzieli słynny „Sportclub“ z Wiednia.

Niestety dwa ostatnie matche, rozegrane z „D. F. C.“ z Pragi i z „Sportclubem“ z Wiednia przez „Cracovię“, nie wystawiły drużynie krakowskiej, cieszącej się dotychczas wielką popularnością i ogólną sympatyą, pochlebnego świadectwa. Jej dobra forma, jej piękna gra, poprawna pod każdym względem, bo i kombinowana dobrze i pełna eleganckiego temperamentu, należą do przeszłości. To też poziomowi jej gry odpowiadają i smutne wyniki: przegrane 0 : 5 i 2 : 7 z niemieckim klubem z Pragi, a 0 : 5 z „Sportclubem“ wiedeńskim.

Natomiast zarówno „D. F. C.“ z Pragi jak „Sportclub“ z Wiednia potwierdziły w zupełności głośną opinię znakomitych, pierwszorzędnych drużyn, za jakie ogólnie uchodzą. Grę ich cechuje harmonijne działanie wszystkich członków drużyny, krótkie, przyziemne, zawsze niezawodne podawanie, wielki temperament, wolny jednak od brutalności, doskonała technika i wzorowa kombinacya.

W skład „Sportclubu“ wiedeńskiego wchodzą gracze, zaliczający się do najlepszych w Wiedniu, stąd też często powoływani do reprezentatywnych drużyn austryackich. Takim jest bramkarz „Sportclubu“ Müller, najlepszy dziś w Wiedniu, obaj obrońcy Fekete i Krojer, dalej pomocnicy Schrödter i Wackenreuther, a w napadzie Mairinger, Schmieger, Neubauer i Müller II.

W drużynie krakowskiej słowa uznania należą się tylko nadzwyczaj przytomnemu i pracowitemu graczowi Traubowi, który po raz pierwszy grał w obronie, dalej dzielnemu Ralskiemu z pomocy, wreszcie Singerowi z środka ataku, którzy w ostatnim matchu starali się ratować honor „Cracovii“.

Zdjęcie nasze przedstawia drużynę „Sportclubu“.



Z sezonu footballowego: Drużyna „Wiener Sportclubu“, z sędzią p. Komarem (X) z Wiednia.



Zawodowa szkoła gospodnio-szynkarska: Grono uczniów szkoły wraz z nauczycielami. W pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej pp.: T. Nowakowski, dyr. Bałaban, J. Löwenheck, st. radca magistratu Zawistowski, radny miejski Janowicz, dyr. Bojarski, lekarz dr. Frankowski i prof. Gutkowski. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Pomiędzy mną a czytelnikami moimi panuje w tej chwili stanowcza różnica zapatrywań. Kiedy oni prawdopodobnie dziękują Panu Bogu. że skończyły się nareszcie wybory, kronikarz *Nowości illustrowanych* wylewa po nich łzy rzęsiste. Czytelnicy odetchnęli po mowach kandydackich, pozbyli się niemiłego widoku naganiaczy, wyrwali się z wiru intryżek, przestali być ofiarami nieraz bardzo brzydkich presyi i zabiegów, a więc mogą sobie spokojnie zasiąść przy szklance piwa lub kieliszku wina (abstynenci przy kubku mleka lub filiżance herbaty) i rozpamiętywać z uśmiechem epizody homeryckich bojów o mandaty — i to w pełnem przekonaniu, że czy do Wiednia poszedł Piotr czy Paweł, nic na tem kraj nie zyska ani straci. Gdybym był tylko wyborcą, podzielałbym zadowolenie moich czytelników, bo i mnie już dosyć tej wrzawy, dość tych mów szablonowych, a zwłaszcza dość narwanych polityków i hyen wyborczych, wmawiających w ludzi, że jedynie chęć pracy dla dobra kraju, żądza poświęcenia się dla ogółu pcha do Wiednia ludzi, pragnących zadowolić swoje ambicyjki (ci są jeszcze lepsi) lub stanąć u wielkiego żłobu karyery. Ale jako fejletonista, z boleścią patrzę na koniec karnawału wyborczego, boć on dawał i zawsze dawać będzie wszelkim kronikarzom nader obfity materyał. A jak szewc bez skóry butów nie uszyje, tak kronikarzowi trudno z piasku bicz kroniki ukręcić. Więc błogosławi te chwile ogłupienia, nazywane walką o zasady — a jest w trwodze, gdy nastają dni spokoju i upamiętania.

Bo czy nie mogę mieć naprzykład uzasadnionej obawy, że dzienniki nasze, przez ostatni miesiąc tak ożywione i humorystyczne, powrócą do stanu martwoty i tak zwanej przez nie powagi, która jest właściwie pospolitem nudziarstwem? Czy znajdę n. p. za czasów pozawyborczych w *N. Reformie* taki szczyt najwytworniejszego komizmu, jak twierdzenie, że redakcya tego pisma stała zawsze na stanowisku obrony Kościoła i niejednokrotnie z tego powodu ponosiła znaczne ofiary? Była to odpowiedź na interpelacyę X. Rychlaka, jak podaje *Reforma*, czy też ks. Kądzioły, jak pisze *Czas* (jak widzimy nawet co do nazwiska interpelanta zachodzą poważne między tymi organami różnice). A ponieważ odpowiedź tę przyjęto oznakami uznania wśród słuchaczy katolickich, przypuszczam, że nie pozostanie ona bez następstw. Jakkolwiek bowiem nie zdaje mi się prawdopodobnem, o czem powszechnie mówią, że będą podjęte w Rzymie starania o beatyfikacyę *N. Reformy*, to w każdym razie jako nagroda za ofiary poniesione dla Kościoła, spadnie na jej redakcyę jeżeli nie szambelaństwo, to przynajmniej order św. Grzegorza.

Niemniejszą wesołość wzbudził *Czas*, nazywając peregrynacyę JE. Korytowskiego za mandatem „nieprzerwanym pochodem tryumfalnym“. Logika powiada, że do wszelkiego pochodu tryumfalnego potrzeba naprzód tryumfu, a nikt mnie dotychczas objaśnić nie zdołał, gdzie i jaki tryumf odniósł JE. Korytowski. Jakby kto chciał koniecznie, mógłby za ów tryumf uważać odniesienie zwycięstwa nad dr. Bobrowskim. Może być, że to zwycięstwo (nawiasem mówiąc wobec stosunków naszych całkiem nie trudne) JE. Korytowski odniesie, zanim moja kronika opuści prasę, ale *Czas* pisał o tryumfalnym pochodzie już przed tygodniem, a więc przed wyborem. Donosił również, że była taka chwila podczas mowy kandydackiej Jego Ekscellencyi, w której „entuzyazm słuchaczy doszedł do punktu kulminacyjnego“. Czytałem tę mowę i ani rusz nie mogę znaleść takiego w niej punktu, któryby miał prawo do owego „punktu kulminacyjnego entuzyazmu“. Była to mowa, jak wiele innych, przyznam nawet, że zgrabna, kiedy JEkscellencya mówił o swym kontrkandydacie, ale musiałbym mieć bardzo złe wyobrażenie o stanie klepek wyborców Podgórza, gdyby mogła ich doprowadzić do entuzyazmu. Ten entuzyazm już prędzej mógłby mną owładnąć, gdybym posiadał zbytek miłości własnej. Bez tego zbytku, nie z entuzyazmem, ale ze szczerem zadowoleniem stwierdzić muszę, iż JE. Korytowski raczył w pełni korzystać z mowy, jaką dla użytku kandydatów umieściłem w poprzedniej kronice. I on, jak ja, umiał pogodzić „tradycye“, „głębokie przywiązanie do wiary przodków“ z „szacunkiem dla innych wyznań“, konserwatyzm z postępem. I on zauważył „gorączkę zbrojeń“ (gorączkę, a więc chorobę) i on uznaje „potrzebę pokoju“, ale jednocześnie pragnie, aby monarchia powiększyła swe siły zbrojne. I on odczuwa ciężary podatkowe, usprawiedliwia opinię, odrzucającą projekty nowych podatków, ale uznając konieczność podwyższenie państwowych dochodów podaje taki długi spis tego, co jeszcze nam płacić przyjdzie, poza tem, co już płacimy, iż w tym zapewne punkcie musiał „entuzyazm dojść do punktu kulminacyjnego“. Zapewne też nie co innego, lecz te nowe podatki miał mowca na myśli, kiedy obiecywał starać się o to, aby po skończonej kadencyi parlamentu „znalazł wiązankę pomników, *monumentum aere perennius* swej działalności poselskiej“. A już wybrykiem najszczerszego humoru było zakończenie mowy JE. Korytowskiego. Na pięć dni przed wyborami, mając już mandat wszelkimi środkami zapewniony, kandydat, zatwierdzony przez Radę narodową, oświadczył, że każdej chwili kandydatury się zrzecze, jeśli wyborcy znajdą innego, któregoby Rada narodowa zatwierdziła. O dowcipniejsze kpiny z wyborców trudno — i tu zapewne nastąpiła druga edycya entuzyazmu.

Po wyliczeniu szeregu projektowanych podatków JE. Korytowski wspomniał o „znajdującem się w stadyum przygotowawczem opodatkowaniu zapałek“, co państwu przyniesie 15-milionów i o podniesieniu od 1 lipca cen fabrykatów tytoniowych, co razem z przytoczonymi projektami podatkowymi „pozwoli państwu śmielej patrzeć w przyszłość“.

Czytając te słowa, uczułem niewymowną radość i uzasadnioną dumę, że jako konsument tytoniu należę do tych, dzięki którym Austrya śmielej w przyszłość spoglądać będzie. Inni palacze, mniejsi odemnie patryoci, tego uczucia nie podzielają. O ile wiem, całkiem nie ucieszyli się z tego, że od 1. lipca rozmaite trotuarosy, sztinkadory, kapustosy i inne smrododymy oraz fajne i średniofajne rauchtabaki, nabędą większej wartości — ale tylko w cenie. A najmniej ucieszyli się ludzie mniej zamożni, którzy słyszeli zawsze od byłych posłów i kandydatów, że leży im przedewszystkiem na sercu los warstw biedniejszych, a tymczasem widzą i czują, iż wszelkie nowe podatki i podwyższenia cen spadają głównie na ich barki. I tym razem podskoczą w cenie przeważnie tańsze gatunki tytoniu, cygar i papierosów, to jest te, które pali ludność biedniejsza. Tkwi w tem zapewne szlachetna myśl, aby ludzi mniej zamożnych odzwyczaić od szkodliwego nałogu. Uszanujmy zatem tę szlachetną tendencyę i ograniczmy przynajmniej do połowy palenie. Wprawdzie hasło to było podnoszone już wówczas, gdy nasz rodak Dunajewski zacnie podwyższył ceny tytoniu (nie przypominam sobie, czy Austrya patrzyła wówczas śmielej w przyszłość), ale wkrótce hasło to zgasło i na tem pan minister finansów opiera swoje nadzieje. Postarajmy go się przekonać, iż od czasów Dunajewskiego zmądrzeliśmy. Niech nam przyświeca przykład socyalistów pruskich, którzy w odwet za reformę podatkową ogłosili bojkot alkoholu. A bojkot ten grubo się udał, jak dowodzą cyfry statystyczne. Kiedy w pierwszem półroczu 19 9 przypadało 4·2 litra alkoholu na głowę, w tymże czasie w r. 1910 przypadało zaledwie 2·8 litra — czyli konsumcya zmniejszyła się o $^1/_3$. Więc i my przy dobrej woli moglibyśmy dojść do tego, aby zamiast 25 papierosów wypalić dziennie 15, zamiast 8 „kub“ wykurzyć 5, lub 8 „krótkich“ zamienić na 4 „długie“.

I drugą sprawę „aktualną“, zwłaszcza dla Krakowa, poruszył JE. Korytowski, a mianowicie wspomniał, iż podszepnie ministrowi skarbu, aby podwyższył należytości od totalizatora, jakoteż aby opodatkował bookmakerów.

Dla Krakowa jest to, powtarzam, sprawa aktualna, ponieważ po wyścigach o mandaty, będziemy mieli bezpośrednio wyścigi konne, które za kilka dni rozpoczną się w Krakowie. Pachną one totalizatorowiczom, mającym niepłonną nadzieję, że dzięki szybkości nóg końskich zapełnią setkami koron swe kieszenie. A jest to najgłupsza nadzieja, jaką sobie wyobrazić można, gdyż żadna gra pieniężna nie przynosi takich rozczarowań, jak totalizator. Rzecz całkiem naturalna ze względu na wysoki procent, jaki zabiera kasa totalizatora. Pomnij, totalizatorowiczu, że jeżeli na wyścigach krakowskich postawisz przy każdym biegu 10 koron, to ponieważ tych biegów będzie koło 35, już „kasa“ zabierze od ciebie 70 koron za prawo zgrywania się — oprócz opłaty za bilety wstępu. A jeżeli weźmiemy na uwagę, że w Krakowie biega mała ilość koni i że stąd wygrana najczęściej wynosi 2 lub 3 korony ponad stawkę, to choćbyś na 35 biegów wygrał 25, jeszcze biedaku dopłacisz coś do tej zabawy. Chyba, że będziesz stawiał na „fuksy“, ale te fuksy to rzecz rzadka i wypłaty też za nie w Krakowie przy małym obrocie niewielkie — zanim się doczekasz „fuksa“, przegrałeś już dwa razy więcej, niż on przyniesie. Są wyjątki, ale te na palcach policzyć można. Każdej chwili założę się, że na sto totalizatorowiczów 80 przegra, 15 wyjdzie na czysto, a 5 zaledwie pocieszy się bardzo skromną wygraną — no, może jeden szczęśliwiec nad szczęśliwce ponad setkę koron „zarobi“. Po podwyższeniu opłaty rządowej będzie jeszcze mniejsza szansa. Wygrywa tylko kasa i to stanowi dość poważny i potrzebny dla niej dochód, bo sprzedaż biletów nie wiele jej przyniesie. Wszak na pierwszych miejscach jest połowa „darmoch“, bo oprócz dziennikarzy (dla których zresztą liczba biletów jest bardzo ograniczona) zapełnia bezpłatnie trybuny różne „ptactwo niebieskie“ i szerokie sfery przyjaciół i znajomych sekretaryatu i dyrekcyi. Inaczej byłyby przerażające pustki.

A propos wyścigów konnych zauważyć należy pewien dziwny objaw, zostający w rażącej sprzeczności z ich powodzeniem. Oto powszechnie stwierdzono, że obok wzrastającej liczby osób, lubiących patrzeć, jak inni jeżdżą, zmniejsza się liczba jeżdżących konno. Piękny ten, rycerski sport, ma coraz mniej zwolenników. I to nietylko za granicą, ale i u nas, gdzie nauka jazdy na koniu wchodziła w skład przedmiotów, wykładanych w „szkole szlachcica“. Koń był jego nieodłącznym towarzyszem; mówią o tem przysłowia, mówią poeci, piszą historycy obyczajów. Gdzież wyrośli jak nie u nas „ułani, malowane dzieci“? — wszak „nie było pana nad ułana“. A dziś młody szlachcic wkłada na głowę cudacką czapkę, wdziewa jakiś szlafrok, kładzie na oczy olbrzymie szkła i w stroju eskimosa z wyglądem małpy rozbija się w samochodzie. Nic dziwnego, że jedyną w Krakowie prywatną ujeżdżalnię zamieniono na teatr ludowy, a w Warszawie z czterech od wielu lat istniejących ujeżdżalni trzy już na zawsze zamknięto. Obce sporty wypierają nasze własne i tradycyjne i szlachetniejsze. Nasuwa się też pytanie, poco istnieją wyścigi, których jedynem właściwem zadaniem było ulepszanie rasy koni wierzchowych. Poco ją ulepszać, kiedy się bez niej obejdzie? Zostaje wprawdzie kawalerya, ale ta nietyle szybkich, co silnych i wytrwałych koni potrzebuje. Ach! prawda, są jeszcze policyanci konni, ale ta instytucya z rycerskim duchem niewiele wspólnego posiada.

Za to hodowla osłów wzrasta niepomiernie, zwłaszcza u zachodnich naszych sąsiadów. Stwierdził to publicznie na jakiejś uczcie superintendent ewangelicki pastor Braun który, wnosząc toast na cześć swego monarchy i wielbiąc jego rozum, przyznał szczerze, że wobec cesarza Wilhelma wszyscy jego współrodacy są zupełnymi osłami. Inna wersya tego toastu „osłów“ zastępuje „baranami“, ale to rzeczy nie zmienia, gdyż opinia o inteligencyi tych czworonogów jest jednakowa i ustalona.

Poświęcenie sztandaru korporacyi szewskiej we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 2).

Organizacya cechowa rzemieślników należy bez wątpienia do przeszłości.

Ale tem bardziej należy nam cenić jej pozostałości, które uważamy słusznie za zabytek cenny z czasów innych stosunków, kiedy fabryki nie zabijały jeszcze pracy ręcznej tak, jak ją dziś zabijają.

W konserwatywnych na tym punkcie miastach galicyjskich zachowało się jeszcze wiele starych zwyczajów w niezmienionej formie. Świadczy o tem uroczystość, która w tych dniach odbyła się we Lwowie. Z tradycyjną uroczystością dokonano poświęcenia nowego sztandaru korporacyi szewskiej. Obecnych było wiele wybitnych osobistości, z których wymieniamy posła Hudeca i radnego miejskiego Lisiewicza. Załączona illustracya przedstawia grupę uczestników.



Wybory do Rady państwa: Nawet OO. Dominikanie spełniają swój obowiązek obywatelski.



Wybory do Rady państwa: Tłum wyborców przed lokalem wyborczym Sekcyi III. okręgu „Wesoła“ (walka między drem Petelenzem a Daszyńskim).

Popis ułanów Sokołów.

Pocieszającym wysoce jest objawem, że „Sokół“, starając się wyrobić sprawność fizyczną w jak najszerszych kołach i posługując się w tym celu sportami, nie zapomina o jeździe konnej, lecz kultywuje ją z wielką starannością i zamiłowaniem, postępując zgodnie z najświetniejszemi tradycyami naszego narodu. Odbyty przed paru dniami popis oddziału konnego „Sokoła“ we Lwowie wystawił kierownikom jego i członkom świetne świadectwo. Być może, że i widok nieprzejrzanych tłumów zgromadzonej publiczności korzystnie oddziałał na dzielnych Sokołów, podnosząc ich energię i zapał. Umiejętnie ułożony program polegał na zręcznem stopniowaniu: Rozpoczął się produkcyami uczniów gimnazyalnych, a więc najmłodszych adeptów, po których przyszła kolej na starszych członków oddziału. Ci popisywali się w trudnej i wymagającej niepośledniej wprawy zabawie z jajem oraz w przypominającem średniowieczne gonitwy rycerskie zrywaniu kokardy. Niezwykle estetyczne wrażenie wywołał kadryl w cztery pary, który dowiódł, że panie nasze, jak ongi nie ustępują i dziś mężczyznom w kierowaniu koniem. Kadryl — odpowiednio do balowych zwyczajów, kończących go tańcem wirowym o przyśpieszonem tempie — miał za epilog świetnie wykonane skoki przez płoty i rowy.

Ale najciekawszy punkt programu schowano na koniec. Otwarły się bramy koszar sokolich i przy dźwięku marsza napoleońskiej armii pojawił się trójkami oddział ułanów. Mundury ich zrobione były z najzupełniejszą wiernością historyczną. Las furkocących chorągiewek chwiał się ponad głowami.

I zdawało się widzom, że przeniesieni w przeszłość, patrzą na ów zastęp bohaterów, który nieśmiertelną swą szarżą zdobył ziejące ogniem i żelazem wąwozy Samosierry, rozsławiając szeroko sławę imienia polskiego. I zdawało się, że hufiec zerwie się do lotu, ażeby znowu wichrowym pędem obalać przeszkody, znowu urągać niebezpieczeństwom, znowu rwać wawrzyny. A gdy skończyły się ćwiczenia plutonu i ułani zeszli z pola, pozostało widzom podniosłe wrażenie, jakby po świetlanej wizyi dziejów burzliwych a sławnych, pozostała świadomość, że choć na krótką tylko chwilę wyrwali się z szarzyzny powszedniego życia, odetchnęli atmosferą czystszą, skąpali się w słońcu najświetniejszych wspomnień narodu.

Wybory do Rady państwa.

Rozpisane skutkiem rozwiązania izby posłów parlamentu wiedeńskiego wybory powszechne, drugie oparte na zasadzie równego, powszechnego, tajnego i bezpośredniego prawa głosowania, rozpoczęły się w całej Austryi a także i w Galicyi w ubiegły wtorek 13 czerwca.



Wybory do Rady państwa: Ułani, biwakujący na dziedzińcu szkoły im. Kazimierza Wielkiego w ul. Nowowiejskiej (okręg wiejski Kraków—Podgórze—Wieliczka—Dobczyce).

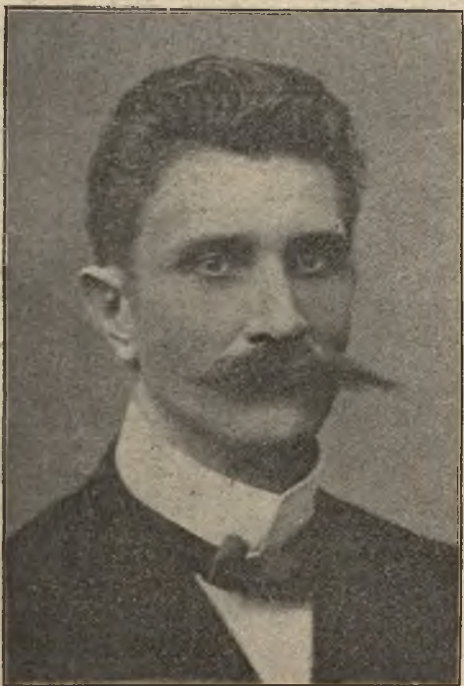


Wybory do Rady państwa: Komisarze policyi dr. Jasieński, Strzałka i dr. Tauer (ze Lwowa) pilnują na pustym placu magistrackim porządku i bezpieczeństwa wyborców.

W kraju naszym na pierwszy ogień poszła cała Galicya zachodnia, w Galicyi wschodniej odbędą się pierwsze wybory w dniu 19 b. m.

Wybory w Krakowie i w całym powiecie krakowskim odbyły się nadspodziewanie spokojnie, nie budząc zbytniego zainteresowania.

Szerokie warstwy ludności, ogół wyborców, nie zainteresowały się już tak silnie wyborami do parlamentu, jak to było w 1907 r., ponieważ najwięksi nawet entuzyaści i zwolennicy powszechnego głosowania przekonali się, że nie można zbyt różowych nadziei przywiązywać do działalności parlamentu, że obietnice kandydatów, starających się



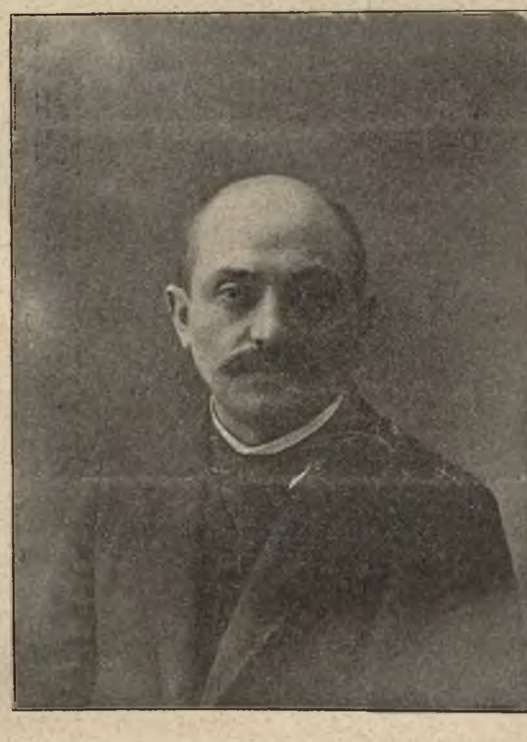
Wybory do Rady państwa: Ignacy Daszyński (Wesoła).

o względy wyborców, idą swoją drogą a smutna rzeczywistość, objawiająca się w coraz trudniejszych, coraz cięższych warunkach życiowych, swoją znowu drogą. Podatki, jak były, tak dalej istnieją, drożyzna mieszkań i środków spożywczych wzrosła jeszcze bardziej, jednem słowem ci, którzy wierzyli zapewnieniom kandydatów, iż parlament ludowy wpłynie korzystnie na zmianę stosunków ekonomicznych i społecznych, zawiedli się grubo, bo się zawieść musieli.

A jednak mimo wszystko nie ulega wątpliwości, że wynik wyborów obecnych do izby posłów ma dla kraju naszego wielką doniosłość. Bo skoro niepodobna marzyć nawet o zmniejszeniu drożyzny, to jednak powinno się dążyć do tego, aby ogólnej biedzie w kraju zaradzić, aby stworzyć nowe źródła dochodu, aby wzbogacić kraj, wzbogacić społeczeństwo. Jedyną radą na to jest uprzemysłowienie Galicyi, a środkiem, który do tego celu może doprowadzić, stworzenie dróg wodnych, stworzenie taniej komunikacyi między krajem naszym a wschodem



Wybory do Rady państwa: Prezydent Dr. Juliusz Leo (Śródmieście).



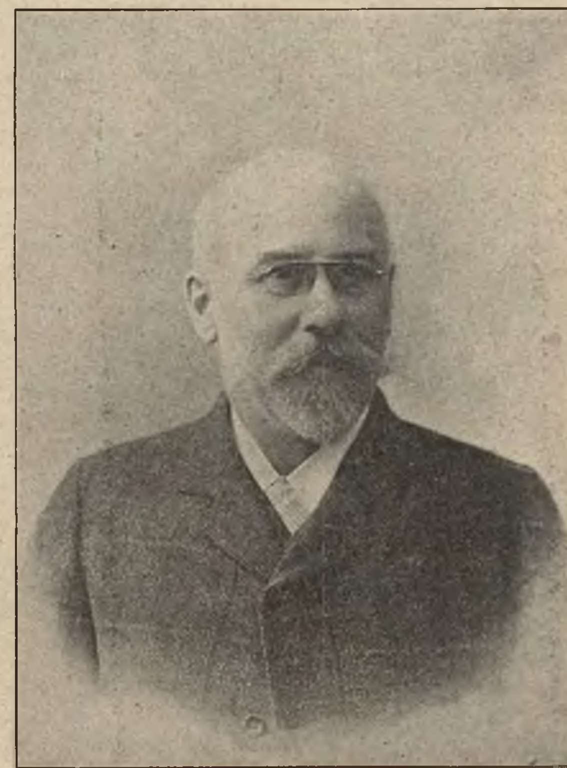
Wybory do Rady państwa: Dr. Adolf Gross (Kazimierz).

i zachodem. Obowiązek ten spoczywa w pierwszej linii na posłach miasta Krakowa, bardzo żywo w budowie dróg wodnych interesowanego. A wiadomo ogólnie, że wszyscy kandydaci na posłów z Krakowa oświadczyli się jako gorący zwolennicy budowy dróg wodnych, to też bez względu na wynik wyborów można liczyć, iż posłowie krakowscy będą w Kole polskiem i parlamencie niezawodnymi rzecznikami tej sprawy.

Kraków wysyła do parlamentu pięciu posłów, a to z okręgów: Śródmieście, Kleparz, Wesoła, Stradom-Piasek-Nowy Swiat i Kazimierz.

W trzech pierwszych okręgach walki wyborczej nie było, gdyż kandydaci demokratyczni: prezydent dr. Leo, b. poseł inż. Zieleniewski i b. poseł dr. A. Gross nie mieli kontrkandydatów.

Bardzo zacięta była natomiast walka w dwu po



Wybory do Rady państwa: Inż. Edmund Zieleniewski (Kleparz).

zostałych okręgach, a to na Wesołej, gdzie przeciw b. posłowi demokratycznemu dr. Petelenzowi kandydował b. poseł I. Daszyński, socyalista, i w okręgu Stradom-Piasek-Nowy Swiat, gdzie przeciw b. posłowi demokratycznemu prof. dr. Sikorskiemu urzędowa demokracya wysunęła adwokata dra Doboszyńskiego, a socyaliści adwokata dra Z. Marka. Ale i w tych dwu okręgach można było wynik prawie na pewne naprzód oznaczyć.

Jak ogólnie przewidywano, wybrani zostali: w Śródmieściu prezydent dr. Leo, na Kleparzu inż. Zieleniewski, na Kazimierzu dr. Gross, na Wesołej Ign. Daszyński a w okręgu Stradom-Piasek-Nowy Swiat z powodu rozbicia głosów odbędzie się wybór ściślejszy między dr. Doboszyńskim a dr. Markiem.



Wybory do Rady państwa: Wyborcy okręgu „Wesoła“ obok ogromnego automobilu, oddanego na usługi komitetu, popierającego dra Petelenza.



Wybory do Rady państwa: Operetkowy kandydat dr Nartowski obrabia w braku innych zwolenników bodaj policyę.

Kwintet artystyczny w Zakopanem.



Kwintet artystyczny w Zakopanem: Członkowie kwintetu z prof. B. Kopystyńskim w pośrodku.

Perła naszych Tatr, urocze Zakopane, z roku na rok rozwija się coraz bardziej i zyskuje sobie za służoną sławę tak w kraju, jak i daleko poza jego granicami. Przyczynia się do tego i znakomite powietrze oraz cudowne widoki, niemniej też zabiegi przedsiębiorców wszelkiego rodzaju, którzy usilnie starają się o to, aby uprzyjemnić gościom pobyt wakacyjny i postawić uzdrowisko na tym stopniu rozwoju, na jakim stoją już od dawna tego rodzaju zakłady zagraniczne. Kto zna Zakopane z przed lat dwudziestu i porówna je z dzisiejszym stanem, przyznać musi, iż zbliżyło się do Europy i dorównywa w zupełności zagranicy, jeśli jej nawet nie przewyższa. Złożyły się na to starania gminy, klimatyki i poszczególnych jednostek i właśnie dzięki im pobyt w Zakopanem jest obecnie nadzwyczaj urozmaicony, a publiczność na każdym kroku przekonywa się o zapobiegliwości przedsiębiorców, którzy wysilają się na wynajdywanie różnorodnych urządzeń dla wygody i uprzyjemnienia tych kilku chwil, jakie spędzić przyjdzie na Podhalu.

Jednem z takich usiłowań jest pozyskanie przez pana Piotra Przanowskiego artystycznego kwintetu salonowego, pozostającego pod kierunkiem zaszczytnie znanego w Krakowie muzyka, profesora Bolesława Kopystyńskiego. Kwintet ten, który popisywał się dotąd z ogromnem powodzeniem w sali Hotelu Saskiego, rozpoczyna z końcem bieżącego miesiąca koncerty w nowo odrestaurowanym i z wszelkiemi wygodami urządzonym lokalu p. Przanowskiego (dawniej Płonki). W skład jego wchodzą między innymi pierwszy skrzypek K. Araszkiewicz, uczeń profesora Barcewicza z Warszawy i znakomity wiolonczelista, p. Bolesław Kopystyński, profesor Instytutu muzycznego w Krakowie.

Sympatya i uznanie, jakie ten dobrany zespół zyskał sobie w szerokich kołach muzykalnych Krakowa, towarzyszyć mu będą niezawodnie i w Zakopanem, gdzie będzie koncertować w czasie głównego sezonu, t. j. przez lipiec i sierpień.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Logogryf:

A
E r b
L u t e r
O b ł u d n y
D o r d r e c h t
K a n g u r y
K a r o l
M u ł
s
I z a
M l e k o
S t y c z n a
K a t a k u m b y
S i e n k i e w i c z

Zadanie do przestawienia: Czyś na górze, czyś na dole, zawsze znajdziesz swoje bole.

Logogryf:

F
H u k
O l s z a
B r a s z ó w
K r a s i ń s k i
S z u j s k i
B i a ł a
I n n
o

Trójkąt magiczny:

I g n a c y D y g a s
G ł u c h o w i e c
N o r d e r n e y
A m u z e t t y
C e w e n n y
Y u s l i k
D e n i s
Y e z o
G a ć
A y
S

Gwiazda magiczna:

E Z N
u u a
l z t
P e l a g i a
l n l
i n i
a a a

Łamigłówka:

Hen
Era
Nic
Rak
Yak
Kat
San
Ile
Eol
Nul
Kit
Ito
Ewa
Wal
Ily
Cad
Zan

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: S. Kamiński Petersburg, J. Radomski Warszawa, J Lewicki Kołomyja, H. Grzybczyk Lwów, S Wańkowicz Mińsk, S Kowalówka Kraków, K Kaim Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, F Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, R. Stolarski Podgórze, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok, H Ungar Lwów, M Kobyłecka Lwów, S. Kozicki Kołomyja, A Bujcki Kraków, S Lemiszewski Żółkiew, J. Gramski Tarnów, A Antosz Jasło, H. Barnat Lwów, M. Bróż Sanok, H Figel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, S Domagalski Kraków, W. Raczyńska Sanok, H Lipowska Przemyśl, J. Nowacki Śniatyn, M. Pytel Kraków, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, M. Scholz Rzeszów, K. Bernatowicz Jasło, Z Radoszewski Janów, M. Więckowska Warszawa, W. Thun Płock, S Kalinowska Podłęże, R. Linderski Czerniowce, W. Świrski Piotrków, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Ostrowski Sandomierz, H Kwaśniewski Lublin, W. Bandrowski Lublin, D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, R. Reichenberg Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, S Gross Sanok, J. Kossowski Lwów, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, J. Wilczkiewicz Tarnów. S Bätlerfeind Czerniowce, S. Lindenbaum Złoczów, W. Potocka Kraków, K. Fuchs Czeremchów, S. Karczmarski Poddębie, S. Bukowski Kijów, M. Maciejowska Oleksin, D. Misiągiewicz Tarnopol, R. Ciszewski Kraków, S. Jaworski Zakopane, M. Medyńska Zakopane, T. Rzepecki Lwów, K. Gliński Kołomyja, W. Urban Lwów, J. Wilkosz Rzeszów, T. Popiel Kołomyja, K. Wiewiórowski Janów, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, J. Skalski Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Bernstein Warszawa, S Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K Zegartowska Bogucice, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, L Sobieniowski Brzeżany, H. Malinowska Winnica, S. Hubaczek Tarnopol, C. Wang Tarnobrzeg, J. Engelberg Rzeszów, M. Krawecka Kraków, M. Darowska Petersburg, J. Sperling Wiedeń, M. Kalicińska Sambor, E. Bogdalska Koropuż, M. Oleksinkowa Holeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Linderski, Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Orszak weselny.

Bardzo podzielone są zdania co do tego, jak powinno wyglądać grono pań, towarzyszące pannie młodej przy akcie ślubnym. Idzie tu szczególniej o druhny, rywalizujące zazwyczaj z oblubienicą



Suknia z orszaku ślubnego w godzinach przedpołudniowych. Szkic z jedwabiu morelowego formą directoire. Przód i dół spodnicy pokryty koronką *point-lacé*. Stanik pokryty gazą czarną; takaż tunika, przyciążona brzegiem dżetowym, obciąga biodra. Stanik przybrany krzyżowym haftem na atłasie bledszym od tła sukni. Kapelusz z żółtej tengali, pióra strusie o tonach od bladego do najciemniejszego pomidorowego.

w wieku, świeżości i urodzie. W wielu rodzinach istnieje zwyczaj strzeżenia się koloru czarnego wśród toalet orszaku, biały zaś pozostawiany bywa wyłącznie pannie młodej; ona jedna, jak lilia w barwnym bukiecie, odcina się śnieżną białością. W innych rodzinach wszystkie druhny proszone są o wystąpienie w sukniach jednego koloru. Widziałam już takie wesele, na którem ośm panien, ubranych różowo, otaczało pannę młodą; wyglądało to niezmiernie wdzięcznie i wesoło. Na ogół jednak dom, zapraszający na wesele, nie krępuje swych gości. Panie same powinny porozumieć się między sobą, aby nie było krzyczących sprzeczności.

Nic nieprzyjemniejszego dla oka, niż orszak ślubny, w którym razi brak harmonii i uderzają gwałtowne przeskoki.

Rzecz naturalna, że śluby dzielą się co do sposobu ubrania na dwie kategorye: wieczorne i ranne.

Przy ślubach wieczornych wkłada się toalety o charakterze balowym, uczesania zdobiąc dyademami, przepaskami, piórami i rajerami. Pod tym względem nie może być nieporozumień.

Jeżeli miewa się jaki kłopot w tym razie, to jak ubrać młode panienki, podlotki, które nie występują jeszcze w świecie, ze względu jednak na uroczystość weselną mają ubrać się balowo. Obecna moda, utrzymująca formę *empire,* bardzo sprawę ułatwia, może bowiem podlotek wyglądać modnie i niezbyt *bebé*. Radzę tylko dla panienek po latach czternastu nie przymarszczać spodniczek, zaczynających się pod piersiami, spodniczka taka bowiem rozwiera się u dołu i traci przepisane przez dzisiejszą modę linie. Co do materyałów, o ile na śluby ranne doradzałabym przedewszystkiem angielskie i szwajcarskie hafty, o tyle na śluby wieczorne rozmaitość materyałów jest wskazaną nawet dla bardzo młodych panienek; na szkicu z fularu widujemy: gazę, tiul, *crèpe de Chine, liberty;* wykończenia z walencienek lub cieniutkiej gipiury, stosują się bardzo. Sznur złoty, srebrny lub biały z żołędziami prześlicznie dopełnia toalety.

Toaleta balowa wycięta przy chłodach wieczornych wymaga koniecznie okrycia; może być niem płaszcz lub szal.

Płaszcze najmodniejsze są na ten użytek z *mousseline de soie* w dwóch barwach, przybrane galonem złotym lub srebrnym. Kolory stosują się najodpowiedniej: liliowy *mauve* na fiołkowym, *maïs* (kukurudzowy) na śliwkowym, blado liliowy na błękitnym, seledynowy na szafirowym, złoty na brzoskwiniowym, różowy na wiśniowym. Barwy te, obie w lekkich, przezroczystych jedwabiach, dają tonacye prześliczne. Widząc tę olbrzymią rozmaitość barw i rodzaju płaszczów, stanowiących *sortie de bal,* z litościwym uśmiechem myśli się o tych czasach, gdy całe szeregi pań na toaletę balową narzucało jednostajną, banalną pelerynkę z białego atłasu lub adamaszku, puszkiem łabędzim obszytą. Dzisiejsza moda wymaga ciągłych zmian, wymaga wyprzedzania tego, co się widuje w witrynach sklepowych, bo to, co się w nich ukaże, nazajutrz już zostaje własnością ogółu, imitowane i parodyowane przez osoby, nie mające gustu.

Różnorodność niemniejsza panuje w szalach. Gazowe i crèpe-de-Chin'owe wyszły już z mody. Dziś najwykwintniejszym, choć najkosztowniejszym jest etola z gronostajów. Gronostaje stały się, że się tak wyrażę, futrem letniem. I nie dziw. Tak na wieczornych ślubach, jak i przy spacerowych toaletach, coraz bardziej dekoltowanych, przezroczystych i koronkowych, futro doprawdy nie zawadzi. Ale musi zastosowane być futro miękkie, lekkie, mające barwę białą, miast poważnego tonu sobolów, nurków czy lisów. Szale gronostajowe bywają podwójne, z wierzchu przybrane ogonkami, ze spodu jednostajnie białe. Z racyi lekkości dzisiejszych toalet zapewne — gazowe szale zastąpione są szalami aksamitnymi. Robią się one koloru sukni lub przybrania sukni, z aksamitu miękkiego, błyszczącego. Aksamitu używa się w całej szerokości i zaokrągla na końcach, nie dodając ani frendzli, ani pasmanteryi, ani jakiejkolwiek ozdoby. Szale te bywają na dwa i pół metra długie, a nawet dłuższe dla osoby wysokiej. Dodaje się im podszewkę z białej *liberty.*

Panie, nie lubiące zbytniej prostoty w ubraniu, noszą szale równie długie i szerokie z podwójnego jedwabiu haftowanego lub malowanego.

Dla osób starszych prześliczny jest szal z ukosu tafty czarnej, przykryty ukosem czarnego błyszczącego tiulu, który ma własność bardzo pięknego układania się. Panie młode, szczególniej blondynki o pięknej karnacyi chętnie też noszą ten rodzaj szalów, niezmiernie podnoszący blask cery i włosów.

I rzeczywiście z wszystkich dodatków, jakie moda przypisywała przez wszystkie wieki, najpiękniejszy może jest szal w tym kształcie i charakterze, jaki dziś się nosi. Taka długa, miękka szarfa z jedwabiu lub futra, owijająca w pięknych skrętach ciało, drapująca się na ramionach, pozwala zacierać sztywność dzisiejszych prostych sukien, zaokrąglać kształty i maskować ostre ruchy.

Ramo..



Suknia z orszaku ślubnego w godzinach wieczornych. Suknia z atłasu koloru seledynowego, objęta u dołu pasem z gazy białej zakładkowanej, pod nim haft biały, gazowy aplikowany. Takiż haft i gaza pokrywa stanik. Talia objęta szerokim pasem z gazy pawiego koloru, haftowanej perełkami i palietkami w tonie silniejszym, który schodzi poniżej biodra, przytwierdzony perłową klamrą, kończy się bardzo długimi frendzlami.

PARYSKIE GADY.

62

Siedli do samochodu i pojechali naprzód, lecz tym razem wolno i z tą zmianą, iż Joe Smith zajął miejsce Panajona, by być bliżej ziemi i nie stracić z oczu odcisków stóp. Tak jechali przez pewien czas. Gdy droga stała się twarda i kamienista, były cow-boy musiał wysiąść i znowu przykucnąć na ziemi. Slady były obecnie prawie niewidoczne i on jeden tylko mógł je rozróżnić między innymi. Posuwali się teraz krok za krokiem, zatrzymując się co chwila. Potem zaczęła się znowu gliniasta ziemia i pojechali prędzej.

Słońce świeciło już wysoko na niebie. Szczyt Rhune opromieniony był złotym blaskiem. Swiatło zalewało zielone pogórki kraju Basków.

— Ale, do dyabła! — zauważył nagle Panajon — my wracamy wprost do Hendaye!

— To możliwe! — potwierdził Joe Smith, nie spuszczając oczu ze śladów.

— To pewne! — przyznał Piotr Cartelegue.

Jazda odbywała się dalej w milczeniu.

— Oto już Hendaye! — odezwał się po chwili złodziej. — Za minutę będziemy w mieście!

Istotnie wjechali zaraz do miasta.

— Ładna historya! — mruczał pod nosem Panajon. — Ładne zakręciliśmy koło!

Joe Smith milczał. Musiał obecnie zdwoić uwagę, ślady bowiem Dureta na ulicach miasteczka mięszały się co chwila z innymi. Zadziwieni mieszkańcy oglądali ciekawie ogromny samochód i trzech pasażerów, jadących za czyimiś śladami.

— Ładna historya! — powtarzał Panajon. — Ładniejsza, niż sobie wyobrażałem!

Ze słowami tymi zajechali na plac przed Grand-Hotel.

Lewis Jackson, Ewa i cały personel hotelowy, słysząc łoskot samochodu, wybiegli na spotkanie.

— I co? — zapytali jednocześnie miliarder i młoda panna.

Panajon zamiast odpowiedzi dał im znak, by milczeli i zwrócił się do właścicielki hotelu:

— Czy tej nocy nie przybył do pani podróżny w starszym wieku, wysoki, czarno ubrany? — zapytał.

— Owszem, proszę pana... Był to turysta, który zabłąkał się w okolicach Saint Jean-de-Luz... Był on bardzo zmęczony...

— Biedny przyjaciel! Może mi pani wskazać jego pokój?

— Już go niema, proszę pana... Odjechał o pół do szóstej pierwszym pociągiem do Saint Jean de-Luz...

— Ach, tak?... Dobrze... Dziękuję.. Może nas pani zostawić samych?

Właścicielka i służba cofnęli się do westybulu. Panajon z swymi towarzyszami został przy samochodzie. Złodziej skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na swych towarzyszy, którzy stali w milczeniu.

Nagle odezwał się:

— I co?... Jak się to państwu podoba?... Spał pod jednym dachem z nami... A o świcie ulotnił się, jak zmrok nocny. To nie człowiek... To czarodziej... My go nigdy nie schwytamy... Chyba, że zatelefonujemy, by nam pomógł, po tego Balazza, co wszystko odgaduje...

— Jadąc po jego śladach wróciliście tutaj? — zapytał Lewis Jackson.

— Tak — odpowiedział Panajon — i pozwalam sobie powinszować panu takiego sekretarza, którego oczy są bystrzejsze od sokolich.

Joe Smith ani drgnął. Pochwały Panajona były dla niego na pozór zupełnie obojętne, w gruncie rzeczy doprowadzały go do najwyższej irytacyi.

— *Well!* — rzekł miliarder. — Jedźcie sprawdzić na dworcu, czy on rzeczywiście pojechał...

Piotr nie wstawał od kierownicy. Panajon i Smith siedli zaraz i samochód ruszył. Nie zdążył jeszcze zawrócić na placu, gdy dwóch ludzi o minach kontra bandzistów hiszpańskich, podeszło do Lewisa Jacksona i Ewy, gdy już wchodzili do hotelu. Mieli oni na sobie niebieskie berety i szerokie płaszcze, którymi cali byli okryci. Bronzowe ich twarze wskazywały, że życie swe przepędzają na otwartem powietrzu.

— Czy *senor* — zapytał jeden z nich — nie potrzebuje przewodników?... Ja i mój brat jesteśmy do dyspozycyi.

— Jesteśmy z Irunu — dodał drugi — nikt od nas lepiej nie zna kraju!

Miliarder kiwnął przecząco głową na znak, że nie przyjmuje ich usług, potem obrócił się na pięcie i zaikł razem z Ewą w westybulu hotelu. Obydwaj Hiszpanie odeszli na środek placu i zaczęli po nim spacerować.

W pół godziny potem samochód wrócił z dworca i podczas gdy Piotr Cartelegue wjeżdżał do garażu, Panajon i Smith zdawali sprawozdanie miliarderowi.

— Nie pojechał on ani do Saint Jean-de-Luz... ani dokądindziej — mówił złodziej. — Widziano go o dwa kilometry stąd, w Behobie... Szedł pieszo... Później poławiacze ostryg, których pytałem, widzieli go koło Biriaton. Opuścił drogę do Bidassoa i skręcił na boczne, prawie niedostępne ścieżki.

— Musieliśmy, ma się rozumieć, wysiąść — dodał były cow-boy — ponieważ w Biriaton zaczynają się już góry, po których samochodem nie dalekobyśmy zajechali. Natrafiliśmy na jego ślady, ale zaraz sami zabłąkaliśmy się. Nie można zaś szukać, gdy się człowiek sam gubi...

— Przytem — nadmienił Panajon — kto wie, gdzie on się zatrzyma.. Strach dodaje mu skrzydeł do ucieczki... Nie zdziwiłbym się, gdyby ten ptaszek zaczął fruwać po Pirenejach z jednego szczytu na drugi. Jeżeli mamy istotnie go schwytać, musimy wyruszyć uzbrojeni, odpowiednio przysposobieni i z dobrymi przewodnikemi...

— Właśnie dwóch przewodników — rzekł Lewis Jackson — ofiarowywało nam swe usługi!

— Gdzie oni są?

— Widzę ich jeszcze — odpowiedziała Ewa, która stała przy oknie.

Rozmowę tę prowadzili oni na dole w salonie hotelowym. Wyszli zaraz na plac i zawołali Hiszpanów.

Przewodnicy, którzy spacerowali ciągle na tem samem miejscu, podbiegli zaraz i skłonili się.

— Panowie mówią, że znają dobrze okolicę? — zapytał miliarder.

— Gruntownie, *senor!*

— Tak góry, jak i niziny?

— Tak!

— *All right!*

— Najmujemy panów! — oznajmił im złodziej.

— A dokąd idą panowie? — zapytał jeden z przewodników.

— W stronę Biriaton, lecz jeszcze dalej za Biriaton... W góry... Nie wiemy jeszcze, jak będzie długo trwała ta wycieczka. A to proszę na konto zapłaty.

I Panajon wyjął portfel i dał każdemu z Hiszpanów po pięćdziesiąt franków. Wszystko czynił na wielką skalę.

Przewodnicy skłonili się aż do ziemi.

— Jak się panowie nazywają? — zapytał Joe Smith.

— Gonzalo Morales.

— Martinez Herrera.

— A więc dobrze Gonzalo i Martinez — rzekł złodziej — chodzi o to, by nie kłaść do jednego trzewika obu nóg... Spieszy nam się.

— Kiedy panowie wyruszają?

— Natychmiast — odrzekł miliarder.

— Proszę wystarać się o trzy lub cztery osły do niesienia prowizyi, rzeczy i innych impedimentów...

— Ale, senor — rzekł Morales — ja nie wiem czy w Hendaye są osły do wynajęcia...

Chłopiec hotelowy, który przechodził koło nich, usłyszał odpowiedź Hiszpana i zatrzymał się, by powiedzieć:

— Zdaje mi się, że niema...

— Co? — zdziwił się Joe Smith. — Niema osłów w Hendaye?

— Są — odrzekł chłopiec — lecz nie wynajmują ich.

— A więc kupcie je — rzekł złodziej do Hiszpanów.

— Nie wiem, czy są one do sprzedania — zauważył znowu chłopiec.

— Wszystko jest do sprzedania! — orzekł złodziej. — Trzeba postawić tylko odpowiednią cenę.

Wyjął z portfelu paczkę banknotów i podał je przewodnikom, mówiąc:

— Idźcie i spieszcie się.

Morales i Herrera skłonili się jeszcze niżej, niż pierwszym razem i szybko odeszli.

— Niech pan zapisuje wydatki — rzekł Lewis Jackson do Panajona. — Zwrócę wszystko razem.

— Ani razem ani oddzielnie — odpowiedział złodziej. — Chcę z własnych funduszów pokryć wydatki tego pościgu. Nie jestem u nikogo na usługach ani też nie czynię nic na cudzy rachunek.

— *All right!* — odrzekł obojętnie miliarder.

Piotr podchodził z garażu do rozmawiających.

— I cóż? — zapytał. — Ruszamy w drogę?

— Za chwilę — rzekł złodziej. — Chcę tylko kupić sobie kołnierzyk i parę mankietów... Chodźmy, Ewo!

I oddalił się z swą piękną przyjaciółką.

Joe Smith przypomniał sobie, że i jego strój musi być w opłakanym stanie. Naprzód był omal że nie zlynczowany przez tłum, potem zaciągnięty na dworzec i poturbowany przez policyantów, garderoba więc jego musiała na tem bardzo ucierpieć. Ruszył kilka kroków za złodziejem i młodą panną. Panajon skręcił wraz z Ewą z placu na ulicę du Port i zaraz natrafił na jakiś dość elegancki sklep, do którego wszedł. Joe Smith, który nie chciał towarzystwa Panajona, wstąpił do drugiego sklepu.

— Proszę pani — rzekł złodziej do kupcowej — wybieram się na kilkudniową wycieczkę w góry... Jeżeli pani ma bieliznę amerykańską, to znaczy celuloidową, bardzobym się z tego cieszył...

— Owszem, mam, proszę pana...

I kupcowa postawiła na kontuar całe wielkie pudło.

— Doskonale! Biorę wszystko!

— Ależ to za wiele! — zauważyła Ewa.

— Wcale nie... Nasi towarzysze także nic z sobą nie mają. Uradują się, żem kupił i dla nich.

Zadowolona z takiego gościa, kupcowa ułożyła cały stos mankietów celuloidowych, kołnierzyków i półkoszulków.

— Proszę dodać jeszcze kilka sztuk prawdziwej bielizny dla mnie i dla pani — rzekł złodziej.

— W tej chwili.

Kupcowa wzięła miarę z swych klientów a jednocześnie zaproponowała im:

— Jeżeli państwo udają się na wycieczkę, to mogę także służyć mocnem, górskiem obuwiem, podkutem i o niskich obcasach.

— Proszę pokazać...

W pięć minut potem Panajon i Ewa ubrani już byli w mocne trzewiki i miejscowe czapki. Ponadto młoda panna miała na sobie płaszcz z kapiszonem, a fałszywy John Harris płaszcz hiszpański na aksa-

mitnej podszewce. W rękach mieli duże, okute, ostro zakończone kije do podpierania się w górach.

— A gdzie znajdę na to wszystko walizy? — zapytał Panajon.

— Trochę dalej... W bazarze francusko hiszpańskim.

Fałszywy John Harris i przyjaciółka jego udali się do wskazanego sklepu.

Wkrótce właściciel bazaru i jego subjekt odnieśli zakupione walizy do pierwszego sklepu, tam zapakowano szybko całe stosy kołnierzyków, mankietów, bielizny i innych części garderoby i wszyscy razem z całym bagażem skierowali się do kolonialnych sklepów, by zaopatrzyć się na drogę w spożywcze artykuły.

Gdy Ewa i Panajon wrócili do hotelu, przewodnicy byli już tam z czterema osłami, na które złożono zaraz dość ciężkie walizy. Podróżni szybko się przygotowali i byli gotowi do drogi. Joe Smith uregulował w kantorze hotelu rachunek za wszystkich. Gdy ukazał się na progu w promieniach słońca, wyglądał zupełnie odświeżony. Na szyi jego świecił się biały kołnierzyk, obwiązany jedwabnym krawatem o jaskrawych kolorach. Ponadto ubrany był w nową czapkę i długi czekoladowego koloru płaszcz. Cała ta elegancya przeznaczona była na podbicie serca Ewy.

— Naprzód! — zakomenderował miliarder.

I cała karawana ruszyła w drogę. Przewodnicy z małemi laskami w ręku popędzali osły, wołając:

— *Anda!*

Wkrótce zostawiono za sobą miasteczko i skierowano się na drogę ku Biriaton, od którego jednak dzieliło ich co najmniej trzy kwadranse drogi. Wypoczynek nocny i nadzieja schwytania już raz prezesa dodawała im energii. Wreszcie dotarli do wąskich ścieżek, któremi szedł Maksym Duret. Tutaj ślady jego były zupełnie wyraźne. Odkrył je pierwszy Joe Smith, a Panajon, zwracając się do Hiszpanów, oznajmił im:

— Chcemy dogonić osobę, której ślady tu widzicie. Tysiąc franków dla was, jeżeli go dościgniemy...

— Dobrze, senor! — odpowiedzieli razem Gonzalo Morales i Martinez Herrera.

Skóra osłów zadźwięczała pod uderzeniem lasek. Biedne zwierzęta zaczęły raźniej przebierać nogami.

Ewie zrobiło się żal zwierząt.

— Proszę ich tak nie bić — rzekła do przewodników.

— Dobrze, senora!

Wkrótce jednak piękna prasowaczka musiała się zająć sobą. Droga przedstawiała teraz mieszaninę gliniastej ziemi z kamieniami. To potykano się o nie, to nogi grzęzły w mokrym gruncie.

— Przeklęty prezes! — mruczał Panajon. — Dyabelski musi mieć organizm! Co to jednak znaczy strach. Oto człowiek nie pierwszej już młodości... który nigdy nie uprawiał sportów... a dlatego że go gonią, skacze nad przepaściami jak koza i nie czuje wcale zmęczenia.

Wszyscy zatrzymali się, by odetchnąć trochę i zobaczyć drogę, którą już przebyli.

— Co? ładny widok! — ciągle coś mówił Panajon, który po przespanej nocy odzyskał swój zwykły humor.

Przed nimi w nizinie, rozrzucone między górami a morzem widniały Bohobie, Irun, Hendaye i Fontarabie. Białe mewy, które z takiej odległości wydawały się komarami, latały nad wodą.

Piotr potarł sobie ręką spocone czoło. Potem zamknął kilka razy oczy i z trudem tylko je odmykał. Był bardzo blady.

— To dziwne — rzekł. — Nie jesteśmy przecież wysoko... A przytem przyzwyczajony jestem do szybkiej jazdy i nagłych zakrętów, nie powinienem więc nic odczuwać... A mimo to mam jakby zawrót głowy...

— I ja również — rzekł Lewis Jackson.

— I ja także — dodał Joe Smith.

Obydwaj Amerykanie nie lepiej wyglądali od króla stu dwudziestu koni.

— Chodźmy dalej! — wzywał Panajon.

Zaczęli wspinać się pod górę a wkrótce znowu spuszczać się w dół. Droga skręcała na południe i morze znikło im z oczu. Tysiączne strumyki wody spływały z gór. Kopyta osłów grzęzły głęboko w mokrej ziemi.

Joe Smith szedł na przedzie z oczyma utkwionemi w ślady Dureta.

Nagle zatrzymał się, wyjął chustkę i otarł nią twarz. Cała karawana zatrzymała się za nim.

— Dalej! dalej! — powtarzał Panajon.

Jankes odwrócił się i wszyscy ujrzeli, iż bladość jego przybiera teraz zielonkawy kolor.

— Ciemnieje mi przed oczyma — rzekł.

— I mnie także — dodał Lewis Jackson.

— I mnie również — wyszeptał Piotr.

Wszyscy trzej byli bardzo bladzi. Nogi uginały się pod nimi! Nie mogli stać wyprostowani.

— Oh! Boże! Co panom jest? — zawołała Ewa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko współczesnej polskiej powieściopisarki.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Kwiat doniczkowy. 3. Cesarz rzymski. 4. Imię żeńskie. 5. Bogini łowów. 6. Okres czasu. 7. Metal. 8. Utwór Krasińskiego 9. Miasto w Rosyi. 10. Drzewo. 11. Pośrednik. 12. Inaczej jasyr. 13. Poemat Słowackiego. 14. Wykrzyknik. 15. Naczynie. 16. Zwierzę stanowiące przejście od ssaków do ptaków. 17. Imię hebrajskie. 18. Zaimek. 19. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Pąki, czego, jego, s, Zan, łysa.

Arytmogryf.

Ułożył W. K. Zborów.

Cyfry i kwadraty zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwę księcia pomorskiego, który się wsławił w czasie wojen z Krzyżakami.

□
1 □ 2
3 4 □ 5 6
6 4 8 □ 9 10 7
11 5 □ 12 2
13 □ 14
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Owad. 3. Rodzaj choroby skórnej 4. Imię psa. 5. Imię żeńskie. 6. Zwierzę pociągowe. 7. Spółgłoska.

Zagadka.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Trzy litery w jednym rzędzie
A z nich słodki napój będzie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. K. Zborów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ezop, droga, ciasno, gniew, sens, guz, ul, oj

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

b, b, e, g, g, i, i, k, m, m, n, o, o, ó, t, z, z.

Szarada.

Ułożył K. Jazienicki, Małkowice.

Pierwsze i trzecie, legumina z tego,
Czwarte i drugie postać z Przymierza starego,
Przed drugiem trzecie z kreską powierzchnia wyniosła
Całość gród, gdzie sława Polaków tak wzrosła.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

By, nie, ikra, bary, burza.

Łamigłówka.

Ułożył L. P. S. Przemyśl.

Wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby głoski, wstawione w miejsce kresek, podały nam utwór Przybyszewskiego.

— ok
ga —
— da
żl —
— ap
sk —
— ęp
ra —
— le
po —
— ch
pa —
— ga

Szarada.

Ułożył M Kopacz, Jodłowa.

Wśród dwie litery, jeśli twoja wola,
Będą ci miarą dla kawałka pola;
Dopisz z początku sam literę trzecią
To będzie miasto z dzielnych ludzi słynne.
Skreśl dopisaną i dodaj dwie inne
Budowla, słynna zwierzęcą gawiedzią!
Przywróć skreśloną! Między wyżynami
Afryki znajdziesz, lub między falami
Niesie człowieka! Dodaj głoskę jedną,
To już umęczy twoją głowę biedną..
Ale się pocieszą! To nie żadne kpiny,
Wszak to przydomek wodza Kartaginy!...
(Gdy rozwiązanie zanadto doskwiera,
Jakby ją zacząć, spytaj inżyniera!).

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryana Jastrzębca:* **W obronie czci Jasnogóry.**

Na wiosnę POLECA **Zygmunt Ślimakowski** Kraków, Rynek gł. Linia A-B (obok gł. trafiki).

Bluzy, Halki, Pończochy, Rękawiczki, Żaboty, Kołnierze, Welonki, **Torebki**, Boa i Pióra strusie, Szale, **Żakiety włóczkowe**, Parasole. Najmodniejsze przybrania do sukien i przybory do szycia. **Ceny niskie! Towar doborowy!**

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **S. SZCZURKOWSKI** W KRAKOWIE **ul. Grodzka 2**

Niniejszem mamy zaszczyt zawiadomić, że **z dniem 1-go czerwca** b. r. **otworzyliśmy** w t.zw. **Szarej kamienicy**

w Rynku pod L. 6

tymczasowe wejście od ul. Siennej

szesnastą z rzędu w Austryi filię światowej firmy

Głogowski i Ska

której kierownictwo objął długoletni kierownik naszego oddziału kartotecznego we Lwowie p. inż. **Tadeusz Krauss,** i polecamy uznane w całym świecie za najlepsze

oryginalne amerykańskie maszyny do pisania

REMINGTON 10 i 11

z pismem widocznem — **samosumujące** maszyny do pisania

REMINGTON-WAHL

maszyny do sumowania „BURROUGHS", maszyny do rachowania „SAXONIA", kartoteki, rejestrowniki, garnitury klubowe, kasy ogniotrwałe oraz

oryginalne amerykańskie urządzenia biurowe

jako to: biurka i szafki ze storami, biblioteki składane, fotele obrotowe itp.

Bezpłatna wystawa, bez przymusu kupna, codzień w godzinach biurowych od 9-tej rano do 7-mej wieczorem.

Polecając się łaskawym względom upraszamy o liczne odwiedziny.

Z poważaniem **Głogowski i Ska.**

ZAKOPANE

WILLA „MARYA"

PENSYONAT BUCHOWIECKICH

CAŁY ROK OTWARTY
POKOJE SŁONECZNE
KUCHNIA DOSKONAŁA





Kolekcya okazya 12 szt sortow. 5 kor.

Proszę obstawać przy tem, aby dostawca sprzedawał prawdziwe „OLLA". — Zajmujący, pouczający i oryginalny cennik z podaniem składów bezpłatnie

przez

„OLLA" Gummi-Centrala, Wiedeń II|309

Praterstrasse 57.

Między innymi można nabyć **„OLLĘ" we Lwowie: w aptekach** Alojz. Hubnera, H. Rubla, J. Beisera, Ad. Aschkenazego, N. Dobrzańskiego, F. Dewechy'ego, J. Piepes-Poratyńskiego, A. Ehrbara, **w drogueryach:** Mikolascha i Sp., J. Rechena, H. Grünspana. Al. Hubnera. A. Beacoka, I. Fruchtmana, A. Oberhardta, Sidhoff i Grabowsky.

W Krakowie w aptekach: M. Pronia, K. Wiszniewskiego, N. Gralewskiego, Max. Redyka, Stan. Jakubowskiego, **w drogueryach:** R. Drobnera, Reima i Ski, I. Hanaka i Ski, Zopota i Ski, A. Mikuckiego. Arn. Reifera, A. Pachuckiego M. Doskowskiego, J. Wiśniewskiego.

w Bochni: u. J. Michnika; **w Brodach** u. L. Kallira, M. W. Zimelsa;
w Kołomyi; u aptekarza E. Stenzla
w Tarnopolu; u J. Freudenthala, Dr. Franzosa, O. Hellmanna;
w Tarnowie; u J. Niesiołowskiego, W. Bracha, L. Gostkiewicza;
w Przemyśiu; M. Schwarza i F. Wojciechowskiego oraz we wszystkich aptekach i lepszych drogueryach.

Szczególnie wyborowe gatunki „OLLA" specyalności dla panów;
Nr. 1203 najlepszej jakości tuzin 6 kor.
Nr. 1204 „ „ tuzin 8 „

Rentowny wyrób likierów!

Renomowana firma fabryczna podejmuje się urządzenia pracowni do wyrabiania likierów **według praktycznej metody** reflektantom, którzy posiadają odpowiednie lokale i rozporządzają odpowiedniem kapitałem. **Wysoki zysk udowodniony.** Bezpłatna informacya, koncesya oraz gruntowne wyszkolenie przez wypróbowanego fachowca na miejscu.

Tylko poważne zgłoszenia pod **„Spiritnosen 90453"** do

M. Dukes Nachf. Annoncen-Expedition
Wiedeń I., Wollzeile 9 zostaną uwzględnione.

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2

poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.



Ceny przystępne!



Do nabycia u firmy **Reim i Ska** Kraków, Rynek 37.

ROCZNIKI 1910 r.

„Nowości illustrowanych"

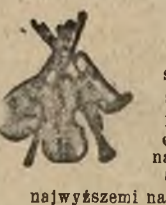
Do nabycia w Administracyi tegoż pisma.

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes".

Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem poleconym 3 kor. 46 h do nabycia:

W Krakowie: w drogueryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha,
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego.

Franciszek Niewczyk
Lwów, Chorążczyzna l. 7



Pierwsza krajowa fabryka instrumentów smyczkow. i dętych. Odznaczona na wystawach światowych najwyższemi nagrodami.

Poleca swoje wyroby po najniższ. cenach. Cenniki franco

Na wszystkich dworach, u znawców i krytyków znajduje się gramofon z „aniołkiem" uźnany za **najlepszy w świecie,** co zadokumentować mogę rozlicznemi uznaniami. — Także i wysoką szlachtę zaliczam do mych odbiorców, ile też zadowoloną jest z gramofonów z „**aniołkiem**" świadczy mnóstwo podziękowań z tej strony.



Gramofony i płyty z marką **„aniołek piszący" otrzymać można li tylko u firmy:**

WE LWOWIE Sykstuska 2. Tel. 1560. **JOZEF WEKSLER** **W KRAKOWIE** Grodzka 71. Tel. 1241.

Demonstracya bez przymusu kupna! **Cenniki wysyłam darmo i opłatnie!**

Ulgi w spłatach ratalnych. — Przeróbki „Patefonów" na Gramofony. — Wszelkie płyty prócz aniołkowych po Kor. 2·—. — Gramofon koncertowy z 10·ma podwójnemi płytami Kor. 50·—.

Magazyn bielizny męskiej i damskiej
wielki wybór towarów trykotowych

F. BAŁABUSZYŃSKI

w Krakowie, ulica Szewska L. 10

Skład płócien — szyrtyngów i bielizny stołowej — wyprawy ślubne — płótna krajowe.

Materyały i krój angielski

Pierwszorzędna Pracownia

SUKIEN MĘSKICH

Leona Grabowskiego

właściciel firmy: Gabryel Grabowski

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 38. — Telefon Nr. 381.

Konrad Ściborowski

Kraków, Floryańska 13
obok firmy
(Skórczewski i Polakiewicz)

Magazyn nowości i strojów damskich
poleca wielki wybór bluzek, halek, szlafroczków, kostyumków, spodniczek, żabotów, boa strusich, kołnierzyków damskich, woalek, pasmanteryi, tiulów, gaz, torebek skórzanych i pompadurek etc. etc., po cenach umiarkowanych.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.